№ 39. Warszawa, dnia 29 (17) Września 1883 r. Rok III.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

**Adres Redakcyi i Administracyi**
**Włodzimierska Nr. 2.**

Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedyńczych numerów** po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.



Prosimy szan. abonentów naszych o wczesne zapisywanie się na kwartał czwarty dla uniknięcia opóźnień w przesyłce pisma.

Do dzisiejszego numeru *Prawdy* dołączamy w dodatku kwartalnym początek IV tomu pracy Brandesa: **Główne prądy literatury XIX stulecia**. Książka ta zakończy dzieło, po którym damy podręcznik ekonomii społecznej. *Ponieważ tom II już wyczerpał się*, zwracamy więc uwagę naszych abonentów, że każdy z tomów stanowi osobną całość i z innymi nie łączy się ciągiem nieprzerwanym, lecz o tyle jedynie, o ile z sobą wiążą się literatury rozmaitych narodów.

## Urodzaj na kaczki.

Współczesny zbieg może nie tyle ważnych, ile niespodziewanych i uderzających wypadków wprawia w tak gorączkowy ruch fantazyę dziennikarską, że codzień prawie rodzi ona nowe pomysły, nowe, telegrafem z jednego końca świata w drugi przerzucane, „odkrycia." Przyznajmy, że trudno się oprzeć pokusie improwizowania elektryzujących doniesień wobec nieustannych zjazdów monarszych i ministeryalnych, wobec groźnych wstrząśnień na różnych punktach Europy. Trzeba mieć dużo zimnej krwi i krytycyzmu, ażeby w tych wypadkach nie odczytać Baltazarowych słów proroctwa, która ma się spełnić zaraz—nazajutrz. Zresztą nie zapominajmy, że w robieniu tej wrzawy udział bierze wrodzona ludziom żyłka wróżbiarska i nietylko chęć rozświecania dręczących ciemności domysłem, nietylko nadzieja odgrywania strat na gwałtownych przewrotach, ale także — i to w znacznej mierze — spekulacya. Wyrosła z kieszeni bankierskich i otrząsająca dla nich owoce większa część prasy europejskiej niezmordowanie mąci wodę taką lub inną wieścią, stosownie do tego, jakie z niej chce wyłowić ryby. A nawet dzienniki niezależne, widząc w szerzeniu niepokoju nader skuteczny środek mnożenia abonentów, drażnią ciągle ten czuły ich nerw coraz nowymi bodźcami.

Byłoby nieludzkiem wymagać od pism polskich, ażeby się oparły tak silnemu prądowi, tembardziej, że mają więcej powodów obawiania się niszczącej burzy, że są głosem robaka, przytulonego w szczelinie i przerażonego myślą, iż go wstrząśnięte skały zgnieść mogą. I w naszej więc prasie rodzą się najrozmaitsze przepowiednie, rozmowy z mężami stanu, „rewelacye" i inne kaczki, które zwykle nie żyją dłużej nad dobę, ale nie giną bezpotomnie. Ani pamięć nasza nie zdołałaby, ani potrzeba nie każe wyliczać przeróżnych rozwiązań logogryfów politycznych, jakie od dwu miesięcy nieprzerwanym szeregiem się przesuwają; zaregestrujemy tylko ostatnią „rewelacyę," nad którą jeszcze telegraf i pióra polemiczne dotąd się trudzą.

Puścił ją w świat *Dziennik Poznański*, otrzymawszy od tajemniczego (jak zwykle) i wysoko postawionego przyjaciela, a za nim szeroko rozniósł *Kuryer Warszawski*, który, nawiasem mówiąc, robi dziś taką minę, jak gdyby jego ucho było przyłożone do dziurki klucza gabinetu wiedeńskiego. Według tej „rewelacyi," Niemcy do współki z Austryą zamierzyły dokonać nowego podziału terytoryalnego od wschodu, ponieważ zaś my żyjemy w obrębie pola przyszłej ich operacyi, więc... *sobrii estote et vigilate!* Usłyszawszy to organ austryackiego ministeryum spraw zagranicznych pospieszył z następującą ostrą odpowiedzią:

„Jesteśmy zmuszeni do zwrócenia uwagi *Dziennika Pozn.*, że rozpowszechniane przezeń poglądy, jakoby Austrya i Niemcy myślały o nowym podziale Polski i przyłączeniu Warszawy do Niemiec, są niegodnym poważnego pisma, fantastycznym wymysłem. Jesteśmy zmuszeni wspomnieć o tych bujnych kombinacyach, bo bajka nietylko dostała się do szpalt *Czasu*, lecz nadto jeszcze w zmienionej formie pojawiła się w *Kuryerze Warsz.* Ten ostatni nie wahał się nawet zamieścić jej w korespondencyi wiedeńskiej z datą 10 września. Korespondencya ta, podobnie jak *Dziennik Pozn.*, naprzód zaznacza, iż Rumunia przyłączyła się do niemiecko-austryackiego przymierza dla odzyskania Besarabii, Bismark zaś pragnie wojny, któraby doprowadziła do wcielenia wielkich obszarów Polski w skład cesarstwa niemieckiego. Wprawdzie hr. Kalnoky ma się temu sprzeciwiać, lecz pewnem jest, że obawa bliskiej wojny wszystkie skrupuły usuwa, dyplomacyę wprawia w gorączkową ruchliwość, a interesa finansowe Paryża i Wiednia bezwarunkowo ubezwładnia. Tu w Wiedniu nie mało muszą się wszyscy dziwić, usłyszawszy rzeczy, o których ani nikt nie myślał, ani za możliwe ich nie uważał. Najdziwniejszem jest jednak to, że podobne dzwonienie na alarm zaniepokoiło giełdę. Już z tego widać, że *Kuryer Warszawski* swą fantastyczną korespondencyę skądinąd musiał otrzymać, a data wiedeńska położona została tylko dla zakrycia źródła pochodzenia. Do czego zmierza powtarzanie takich wymysłów, to dla nas jest zagadką. Może to są płody panslawistycznej agitacyi, która pragnie wprowadzić nieporozumienie między polakami a niemcami dowodzeniem, że ostatni wyciągają łupieżczą rękę po Warszawę, lub też może pochodzą one od polskich *exaltados*, którzy dziś już niepokoją się tem, co wisi w dalekiej przyszłości? Nawet pośród polaków poważni politycy nie mogą życzyć sobie wojny, muszą bać się jej nawet, a jeżeli niektórzy polscy publicyści, wyposażeni bujną fantazyą, są w stanie przewidzieć odległe wypadki, to nie powinni odrazu uderzać w wielki dzwon i straszyć całego świata. Nie wszędzie postępowanie ich znajdzie sąd jasny, może nawet gdzieś wywołać tłomaczenie zupełnie niezgodne z zamiarami twórców. Być może jednak, że szło tu o cel zupełnie

nierozsądny, o wywołanie zaprzeczeń, o pobudzenie publicystyki europejskiej do dyskusyi nad kwestyą polską. Musimy więc koniecznie ostrzedz tajemniczych aktorów dziennikarskich, aby zaniechali kombinacyj wojowniczych, aby nie przypisywali mocarstwom zamiarów i wreszcie, żeby dali spokój z całą swą przezornością. Bo to — jak mówią — przekracza granice żartu, a dzienniki, dbające o swą reputacyę, nie puszczają się na tak pospolite manewra.“

Podczas gdy warszawski chrzestny ojciec nowego płodu fantazyi politycznej usłuchał rady *Fremdenblattu* i rzeczywiście „dał spokój“ dalszemu przędzeniu z pożyczonej kądzieli, pewniejszy siebie *Dziennik Poznański*, obstawiwszy się dla pewności wszelkiego rodzaju „zastrzeżeniami i ogródkami,“ z po za tego szańca strzela dalej:

„Prosta (?) bardzo rachuba i najzwyczajniejsze rozumowanie. Jeżeli zamieszczona przez nas „rewelacya“ jest prostą bajką, jeżeli jest płodem wynalazczej wyobraźni pierwszego lepszego, zakłopotanego o treść swego listu korespondenta, było najpraktyczniejszą i najkrótszą rzeczą, najskuteczniejszym środkiem pominąć ją i ubić milczeniem. Wznosząc około niej tak zbiorową i gorączkową wrzawę, nadają dzienniki wiedeńskie naszej „rewelacyi“ znaczenie, zwracają na nią uwagę.“

Otóż rachuba nie jest całkiem „prostą.“ Skwapliwość bowiem dziennika wiedeńskiego w zaprzeczeniu pogłosce nie stanowi wcale dowodu, że domysł ugodził trafnie, gdyż może ona być również wyrazem obawy o skutki błędnego tłomaczenia stosunków austro-niemieckich. Powtóre dzienniki „dobrze poinformowane,“ w braku lepszego zajęcia, często zabijają muchy, które ich panom usiłują siąść na nosie. Ale *Dziennik Poznański* ma jeszcze inny argument, wsparty częściowo na podstawie *Now. Wremia*.

„Inną rzeczą — powiada — bawić się w czcze alarmy, inną mieć oczy otwarte na fakty, których prawdy zaprzeczyć niepodobna, których rzeczywistość przenika co chwila po za mającą je pokrywać zasłonę. A więc niczem groźne artykuły *Nordd. Allg. Zeitung* i *Post*, a więc niczem zjazdy cesarzów Franciszka Józefa i Wilhelma, a więc niczem konferencye salzburskie hr. Kalnokego i ks. kanclerza niemieckiego, a więc niczem owe objazdy po Europie królów Hiszpanii, Rumunii i Serbii, a więc niczem ruchy kroackie, owa tyralierka południowo słowiańskiego ruchu, a więc niczem znaczące przesilenia polityczne w Bulgaryi i Serbii! Niechaj kto chce przeczy, że to wszystko razem buchające na zewnątrz ogniki gotującego się w głębi i z głębi wielkiego, niewiadomej naturalnie daty, wulkanicznego wybuchu!“

Niewątpliwie są to fakty, ale bynajmniej nie dowody, potwierdzające ostatnią „rewelacyę“ *Dziennika Poznańskiego*, bo odwiedziny mogą mieć cele inne.

Zamiast wątpliwej, według nas, wieści nie stawiamy własnego domysłu. Idzie nam bowiem tylko o rozwianie epidemicznej i bałamutnej wiary w mnożące się z płodnością owadów a najsprzeczniejsze „rewelacye,“ które mogą zawierać cząstkę prawdy, ale które nie usprawiedliwiają się niczem a czarują tajemniczem pochodzeniem. W epoce tak obfitego urodzaju na kaczki, krytycyzm w sądzeniu niepokojących pogłosek winien być szczególnie wzmocniony, ażeby ich nie dopuścić do życia ogółu. Wszelkie alarmy paraliżują jego prawidłowość i sprowadzają stan niezdrowego wyczekiwania. Dość pomyśleć, jak szkodliwie one oddziaływają na ruch ekonomiczny. Nie przesiadujemy nakryci czapką niewidymką w pracowni ks. Bismarka i nie zaglądamy przez plecy dyplomatów do podpisywanych przez nich umów, więc trudno nam stanowczo zaprzeczyć najniedorzeczniejszej wieści; ale powinniśmy ważyć jej wiarogodność krytycznie, zwłaszcza, że nic jej nie poręcza. Może jutro kula ziemska w innych miejscach się spłaszczy i w inną stronę obracać się zacznie, może dziś w nocy wybuchnie stuletnia wojna, może... itd., pewnym wszakże *dziś* jest tylko urodzaj na... kaczki polityczne.

---

## ROZPOCZĘTE PARTYE.

Jak dalece zwodnemi bywają na pozór wyraźne objawy polityczne i wyciągnięte z nich wnioski, przekonało naświeższe i podobno wiarogodne wytłomaczenie niedawnego wystąpienia *Nordd. Allg. Zeitung* przeciwko Francyi. Czytelnicy przypominają sobie zapewne grom gazety kanclerza niemieckiego, rzucony na prasę francuską za nienawiść przeciw niemcom. Ponieważ służebnica gniewa się tylko wtedy, gdy jej pan każe, wyrozumowano więc, że pierwsze węzełki wojny niemiecko-francuskiej już się zadziergnęły i że wkrótce jenerał v. Podbielski zacznie telegrafować do cesarzowej Augusty. Już na lep tej hipotezy połapały się nawet szpaki dziennikarskie, gdy nagle rozchodzi się wiadomość, że *Nordd. Allg. Zeitung* dlatego wymyślała francuzom, ażeby krzykliwą awanturą odciągnąć uwagę świata od... Bulgaryi. Przyznać trzeba, że książe Bismark jest nietylko „żelaznym,“ ale i dowcipnym.

O cóż jednak chodziło? W Bulgaryi skrzyżowały się wpływy dwu mocarstw, najbliżej nią zainteresowanych; ponieważ zaś tysiąco-gębna wrzawa prasy mogłaby to starcie jeszcze bardziej zaostrzyć, więc kazano zrobić burdę na przeciwległym końcu Europy, ażeby ku tamtej stronie wszyscy się zagapili i odkryto figiel dopiero wtedy, gdy po cichu prowadzony spór został załatwiony. Sporu tego, którego dalekie jedynie echa dolatują uszu zwykłych śmiertelników, wykopywać z głębokich tajemnic nie będziemy, ale zaznaczymy objaśniającą go w części przemianę stosunków Bulgaryi.

Jak wiadomo, książe tego państewka zawiesił przed dwu laty konstytucyę tyrnowską i powierzył rządy kraju ministeryum rosyjsko-bulgarskiemu, popieranemu przez konserwatystów a niesympatycznemu dla liberałów. Zwolna wszakże ci ostatni, po kilku przeskokach, znaleźli się w sojuszu z Rosyą, pierwsi zaś, może mimowolnie—z Austryą. Rosya bowiem poparła chwilowo myśl przywrócenia konstytucyi w dawnej lub zmienionej postaci. Jakoż poprzedni gabinet upadł, a chociaż wraz z nim ustąpili dwaj ministrowie rosyjscy, jeden wszakże utrzymał się przy tece wojny. Wynik walki dość niepewny rozma-

---

[7])

# POWIEŚĆ O JANKU
### SZEWCKIM SYNIE
przez
**J. S. Wierzbickiego**.

### VII.

Późna jesień roztaczała wokoło wszystkie swe wdzięki; słońce promieniało, schylając się ku zachodowi. Rzeka w oddali wiła śród szerokiej doliny siną swą wstęgę: z łonajej miejscami wyglądały złote ławice, na których bielały stada gęsi. Czasem przemknął po fali żagiel i zabrzmiała piosenka flisaków.

Janek szedł krętą drogą pod górę. Wybrał się w świat. Spoglądał na łagodne słońce i zdało mu się, że to nie słonko, lecz oko matki tak nań patrzy. Ostatnią noc spędził znów na łóżku, a śniło mu się, że jego własna matula krząta się po izbie i że już wypędziła nową. Wstał zdrów i świeży, wziął krajankę chleba, nową „guńkę“ i boso wyszedł. Nikt go nie pytał, dokąd i po co idzie brzegiem rzeki. Czasem mu bór zakrywał ją przed oczami: wysokie sosny szumiały, jak gdyby szepcząc nad nim modlitwę. Drobne jego stopy zagłębiały się w piasek, czasem zawadziły o korzeń lub szyszkę, którą mały chwytał i chował w zanadrze wraz z kamykami i kwiatkami, zbieranemi po drodze. Czasem stanął i słuchał. Ptak jakiś zaświergotał w gęstwinie, odezwało się zdala szczekanie psa lub odgłos dzwonków pasącego się stada.

Nad wieczorem zbliżył się do wysokiej góry, na którą wchodził zwolna i z trwogą. Cała dolina rzeki, lśniącej u stóp jego, okryta była rzadkimi bukietami dębów i grabów; tu i owdzie leszczyna dochodziła aż do samej wody i kąpała się w jej fali. Śród drzew wznosiły się wielkie, ogrodzone stogi siana.

Słońce chowało się za bór. Janek stanął na samej wyżynie góry i spojrzał w stronę, gdzie, jak mu się zdawało, musi być rodzinne miasto i mogiła matuli; ciężko westchnął. Nagle uderzył słuch jego jakiś daleki, srebrny dźwięk, co jak cudna pieśń brzmiał gdzieś w przestrzeni. Był to niby wielki płacz duchów niebieskich, niewidzialnemi skrzydłami szybujących w przestrzeni, niby łabędzi śpiew pożegnania i rozpaczy. Chłopiec słuchał, słuchał, zapłakał, szepcząc: „dzwonią na Anioł pański u matuli,“ i przeżegnał się.

Słońce zapadło, chłód wionął od rzeki. Janek przyśpieszył kroku, bo usłyszał turkot kół—ktoś jechał. Na prawo rozciągały się szerokie pola, wyżółkłe rżyska, przetkane niekiedy pasmami czarnej roli. Na polach ukazywała się sina mgła i zalewała całą przestrzeń a dymy z dalekiej wioski pod borem zlewały się z mgłą i opadały ku ziemi. Na wschodzie zbierały się chmury ciemno-stalowej barwy, wiatr zimny zaczął zlekka podwiewać poły guńki chłopca.

Janek wszedł w zarośla: były to małe sosenki i brzózki, gęsto z sobą poplątane. Dokoła sterczały pnie i ogromne, napół zgniłe drzewa leżały wywrócone z korzeniem; zielony mech na otwartych polankach śród boru formował maleńkie pagórki, sterczące, jak wysepki, śród wilgotnej przestrzeni. Chłopiec poczuł niejaką obawę, zabłąkawszy się w takiej puszczy. Znowu usłyszał zdaleka dzwonki pocztowe i nawoływania ludzi, skierował się więc w tę stronę. W lesie panował już zupełny zmrok, choć niebo

icie bywa nazywanym: gazety niemieckie nazywają go porażką Rosyi, rosyjskie zaś przegraną Austryi. Według nas, nie jest on ani pierwszą ani drugą, gdyż za słabo uwydatnia przewagę którejkolwiek strony a nie wykazuje stanowczego upokorzenia żadnej. To też *Times* słusznie powiada: „Wypadek w Sofii jest prawdopodobnie tylko drobnem posunięciem w powikłanej partyi politycznej, którą na półwyspie bałkańskim gra Rosya z Austryą, i niezawodnie będziemy mieli sposobność widzieć jeszcze wiele podobnych posunięć, zanim oba mocarstwa spróbują wzajemnie się zamatować. Na kongresie berlińskim przygotowano szachownicę i ustawiono figury, a jeżeli obecnie mamy powód dziwić się, to nie z tego powodu, że zapaśnicy grę rozpoczęli, ale że tak długo pozostali bezczynni.“ W każdym razie z zagadkowych i wyraźnych objawów wysnuwa się fakt, że Austrya ma w Bulgaryi rozpoczętą partyę szachów politycznych.

Jednocześnie musi ona rozgrywać drugą — w Serbii. Telegraf doniósł, że przy nowych wyborach do skupczyny zwyciężyli radykalni. Dla pojęcia skutków tego obrotu rzeczy, musimy uprzytomnić sobie charakter głównych a dość omylnie ochrzczonych stronnictw. Pierwsze, stanowiące większość rządową i liczące poprzednio około 100 członków, nazywało się „postępowem“ albo „młodo-konserwatywnem“ i wytykało swój kierunek w gazecie *Videlo*. Drugie, rozporządzające w samej skupczynie 50 głosami, składało się z radykałów, przemawiających z dziennika *Samouprawa*. Trzecie wreszcie, tworzące orszak b. prezesa ministrów Risticza i posiadające zaledwie kilkunastu posłów, zwie się „liberalnem,“ a jest reakcyjnem.

Podczas gdy poprzedni sternik nawy państwowej Ristic zwracał ją w kierunku Rosyi, jego następca Piroczanac — ku Austryi. Koroną tej ostatniej polityki, silnie napadanej w kraju i osłabianej z zagranicy, było przyczepianie się króla Milana do sojuszu austro-niemieckiego. Gwałtowne wszakże zamykanie ust opozycyi rozszerzyło niechęć w narodzie, który do nowej skupczyny wybrał przeważnie radykałów, nieobiecujących zatwierdzić uchwał t. z. *Conference à quatre* co do połączenia kolej serbskich z sąsiedniemi i świeżych zobowiązań rządu. Zwycięskie stronnictwo (jeżeli skupczyna nie zostanie rozwiązaną) nie obiecuje również przygnięcia do przeciwnej strony i zamiany stosunku zależności; jego hasłem jest zupełne usamowolnienie Serbii.

Nie przewidując dalszego przebiegu starć, zauważmy tylko, że tu znowu Austrya ma — rozpoczętą partyę.

Do tych dwu kłopotów dodajmy wewnętrzne: ciągłe ruchy słowiańskie na południu, zaburzenia przeciw żydom w Węgrzech i zamieszki w Kroacyi, a wtedy rzeczywiście Austrya przedstawi nam się pod postacią szachisty, który musi grać jednocześnie kilka partyj z niebezpiecznymi przeciwnikami. Popchnięta w tę grę przez ks. Bismarka i posłuszna przez niego wskazanemu „posłannictwu“ rozpoczęła zapasy, z których już dziś cofnąć się nie może. Czy zwycięży — nawet pamiętając o rewersie przyjaźni niemieckiej — wróżyć trudno. Bądź co bądź, spotykając silny opór w swem osuwaniu się ku południowi i mając ze wszech stron pod ścianami wewnątrz i zewnątrz podkładany ogień musi dziś myśleć o gaszeniu pożaru, nie zaś o rzucaniu kości w sprawie wschodniej. Bywają wprawdzie śmiałe przedsięwzięcia, które nagłym rzutem tłumią rozstrój wewnętrzny i rozstrzygają wielkie zagadnienia zewnętrzne; lecz Cezara w Wiedniu brak a lichy aktor nie odegra roli bohatera nawet przy najgenialszym suflerze. Ks. Bismark podpowiada hr. Kalnokemu słowa, ale tylko słowa.

## MIĘDZYNARODOWE SĄDY POLUBOWNE I NEUTRALNOŚĆ.

Jest coś w powietrzu nowego — co? Czy nowy zjazd starego cesarza Niemiec z niemłodym cesarzem Austryi? Czy nowe spotkanie się księcia Bismarka z hrabią Kalnokym? Czy nowa jaka podróż króla Rumunii, króla Serbii, króla Hiszpanii? Czy może nowe jakie manewry... wojskowe? Nie. Po za zjazdami cesarzów, spotkaniami ministrów, podróżami królów i manewrami, woniejącymi zdaleka zapaszkiem siarki i saletry, jest coś jeszcze innego, wręcz tamtemu przeciwnego. Akcya wywołuje reakcyę. Staraniom o wojnę odpowiadają starania o pokój, tworzące rodzaj prądów, które płyną bez hałasu, płyną jednak i — powiedzieć można — wzbierają coraz to mocniej, podnoszą się coraz to wyżej. Do prądów tego rodzaju zaliczyć należy dwie idee: pomysł sądów polubownych do rozstrzygania zajść międzynarodowych i neutralizacyę. Pomówię o jednej i drugiej.

Pomysł sądów polubownych nie jest rzeczą całkiem nową. Praktykowały się one w przeszłości, ale przypadkowo, doryweczo. Przykłady ich mamy w historyi naszej z epoki nieporozumień, jakie zachodziły pomiędzy Rzecząpospolitą polską a zakonem krzyżackim. Oddawano je regularnie do rozstrzygnięcia bądź papieżowi, bądź cesarzowi niemieckiemu. Nie dochodziły zazwyczaj; fakt atoli powtarzał się i stawał regułą, do której Polska, odznaczająca się zamiłowaniem pokoju, gotową była odwoływać się w zajściach ze wszystkiemi innemi państwami, z któremi pozostawała w stosunkach. Odwoływanie się do sądu polubownego, widzimy i na zewnątrz Polski. Powaga papieża odgrywała w tym względzie rolę przeważną, nie działała jednak stale i nie nosiła na sobie tego charakteru bezinteresowności, bez którego sąd sądem nie jest. Reformacya obaliła ją doszczętnie. Głowa kościoła katolickiego nie mogła być powoływana do rozstrzygania sporów pomiędzy państwem katolickiem a protestanckiem, była bowiem stroną. Sądy zastąpiło pośrednictwo. To atoli przychodziło zazwyczaj *post festum*; rzadko jeno wojnę uprzedzało i zażegnywało, bynajmniej zaś nie obowiązywało stron, które ochota wojowania do mierzenia się na polu sławy parła. A to właśnie ostatnie — t. j. zażegnywanie wojen — byłoby rzeczą najważniejszą. Uczuwano to, rozumiano; mówiono i pisano o tem; urzędownie wszelako rzecz nie wytaczała się na stół. Urzędowne zaznaczenie jej zjawiło się po raz pierwszy w r. 1856, pod postacią życzenia, wyrażonego po podpisaniu traktatu, kończącego wojnę sewastopolską, ażeby państwa, przed rozpoczęciem kroków wojennych, odwoływały się do pośrednictwa mocarstwa przyjaznego,

---

w górze było jasne. Wysokie sosny z połamanemi gałęziami i niewielkim czubem zieloności u góry sterczały nad nim dokoła. Czasem smętna jodła, wyglądająca jak ciemne widmo, zastępowała mu drogę.

Noc stawała się coraz ciemniejszą, niebo zasnuły chmury i wicher zimny zadął z całą siłą. Janek nad głową swoją usłyszał głosy odlatujących gęsi, które opuściły się tak nisko nad lasem, iż przez chwilkę widział ich łańcuch. Szedł ciągle: w tem spostrzegł, iż ziemia u stóp jego była czarna a drzewa dokoła stały jak widma. Było to spalenisko, pozostałe po letnim pożarze. Poczuł obawę i zaczął wołać o pomoc. W lesie zahuczała burza i rzadkie krople zimnego deszczu spadły na czoło dziecka. Za chwilę rozległ się w oddali huk, jak gdyby ziemia zapadała w otchłań z łoskotem. Coś jęczało, wyło i przybliżało się z hałasem; rzekłbyś, że jakiś apokaliptyczny, olbrzymi potwór pędził przez bory, druzgocząc wszystko po drodze. Janek czuł zdaleka jego grzmiące tchnienia, co wstrząsały potężnie wierzchołkami sosen i gięły wiotkie brzozy aż do ziemi tak, iż długo ich gałęzie z dziwnym, przeciągłym świstem uderzały na wszystkie strony. Nagle koło niego wiatr złamał wierzchołek wysokiej osiny, zakręcił nim świszcząc w powietrzu i uderzył tuż obok sosnę, która, nie wytrzymawszy ciosu, padła dalej. Wicher przeleciał koło Janka i zawył groźnie. Była to tak zwana „trąba jesienna.“ Janek wyszedł wreszcie na szeroką drogę, na trakt pocztowy, bo zdaleka bielały słupy wiorstowe. Idąc pieszo, naliczył ich dziesięć. Droga była z obu stron wysadzana drzewami a dokoła smutne ścierniska rozciągały się bez granic; wiatr na pustem polu szalał, zdaleka migotały światełka gospód i wsi. Janek uczuł śmiertelne znużenie. Niedaleko spostrzegł przy drodze szerokie drzewo, a pod niem maleńki dymek i złocisty wężyk, co błysnął śród cieni. Był to ogień, który rozniecili podróżni. Zostawili przy nim trochę siana i słomy. Malec rozdmuchał głownie, dołożył drzewa a otuliwszy się w siano i słomę, zasnął. Spał mocno. Śniło się mu, że go matula niesie do kumy Magdy, na dworze mróz i zawieja, a ona go otula w płachtę i ogrzewa jego zziębnięte rączki ciepłym oddechem. Tymczasem płomyk ogniska gasł, gasł, w końcu buchnął do góry raz ostatni i dym biały, niby duch jakiś, obwiany mglistą szatą, wzleciał w powietrze i roztopił się w górze. Nazajutrz, gdy z poza chmur błysnął dym szary. Janek wstał, otrząsł z swej guńki słomę i siano, spojrzał z westchnieniem w stronę rodzinnego miasteczka i poszedł dalej. Nikt go nie pożegnał, grusza tylko zaszeleściła ostatkiem żółtych liści na pożegnanie.

I cóż się z nim stało? Nie wiem. Mam jednak nadzieję, że duch jego, łaknący wiedzy, rozwinął niezłamane skrzydła. Tę fatalną granicę, ten Rubikon, na którym kończy się to, co stanowi istotę szewca a zaczyna się to, co stanowi istotę człowieka, on już przebył.

A cóż się stało z Andruchem? Co na to powiedziała Jagna? Ktoby tam chciał badać tajemnice ich domowego pożycia! Powiadają tylko ludzie, że tej nocy, której już Janek nie spał w domu, szewc miał sny bardzo niespokojne, tak, iż niektórzy go widzieli, jak wybiegł na ganek, krzycząc... a sąsiedzi, żegnając się, szeptali, że „to duch Małgosi tak turbuje go za krzywdę dziecka.“

KONIEC.

w celu wyrównania nieporozumień. Życzenie to, które, wedle zdania Bluntschlego (*Le droit international codifié*), uważać można „jako pierwszą próbę, mającą na celu sprowadzenie pokojowego rozstrzygania zajść," przebrzmiało niby wołanie na puszczy. Zamiast niego praktyczniejszą by się może okazała propozycya formalna. Na tę ostatnią atoli żaden z gabinetów zdobyć się nie mógł — raczej nie chciał; żaden atoli przeszkodzić nie był w stanie temu, ażeby idea nurtowała, szukając drogi do wybicia się na wierzch. Podjęło się tego stowarzyszenie prywatne, znane pod nazwą „Ligi pokoju i wolności," które póty szukało, póty pukało, próbowało, póty w parlamentach rozmaitych (w siedmiu: francuskim, angielskim, włoskim, holenderskim, szwajcarskim, duńskim i Stanów Zjednoczonych Ameryki półn.) podnosiło myśl sądów polubownych, ażona przybrała postać urzędowych a formalnych układów o zawarcie traktatu, mającego na celu rozstrzyganie wszelakich możliwych sporów pomiędzy konfederacyą szwajcarską a Stanami Zjednoczonemi Ameryki półn., na drodze sądu polubownego. Niema wątpliwości, że umowa do skutku przyjdzie, raz dlatego, że do zawarcia jej obie strony okazują wolę jaknajlepszą, powtóre dla tej przyczyny, że prezydent obecny konfederacyi szwajcarskiej, p. L. Ruchonnet, równie jak pułk. Emil Frei, ambasador szwajcarski w Washingtonie, są członkami Ligi. Dla niej tryumf to nie mały — tryumf, pomimo, że dwa państwa, zawierające traktat, mający za zadanie zażegnywanie wojny, toczyć jej z sobą nie mogą. Nie mogą toczyć tej wojny, która się objawia w zabijaniu ludzi. Są jednak inne rodzaje wojen: np. celna, zabijająca przemysł i handel. Zamiast strzelać kulami, strzela się taryfami. Skutek ten sam. Jest to więc rzecz poważna, doniosłości dla obu państw niewątpliwej a ogromnej, gdy uwzględnimy tę wreszcie okoliczność, że traktat wprowadzi w życie zasadę, która się dotychczas w powietrzu unosiła, że stawia to, co się w języku dyplomatycznym nazywa „precedensem," odgrywającym, jak wiadomo, w stosunkach międzynarodowych rolę ważną. To też, na podstawie tego precedensu, Liga zamierza działać dalej, usiłując podobną ugodę związać Stany Zjednoczone z Francyą. Uderzała już ona w tę stronę, ale się jej nieudało. Z francuskich ministrów spraw zagranicznych, jeden Barthelémy S-t Hilaire okazywał się skłonnym do wejścia z ambasadorem amerykańskim w układy. Freycinet nie chciał tem sobie głowy zaprzątać. Challemel-Lacour waha się; zagadnięty nie udzielił odpowiedzi wyraźnej — ani odmówił, ani przyrzekł: spodziewać się przeto można, że, gdy mu pokażą traktat szwajcarsko-amerykański, pójdzie za tym dobrym przykładem. Nadzieja jest tem bardziej usprawiedliwioną, iż obecny prezydent gabinetu francuskiego, p. J. Ferry, jest jednym z założycieli i nie przestał być członkiem Ligi. A zatem... wypada stąd jakiś sens moralny wyciągnąć. Jaki? Nie inny, chyba ten, że: gdy chcemy, ażeby się coś zrobiło, robić należy. O tak! „Pieczone gołąbki..." etc. Dobry w tym względzie przykład daje ludziom, działającym w najskromniejszej mierze, książę Bismark, który robi, laury zbiera i na laurach nie zasypia.

Dla zamknięcia rzeczy o sądach polubownych, powołam się jeszcze raz na powagę Bluntschlego. „Prawo międzynarodowe — mówi on — w rozwoju swoim nie omieszka uregulować sposobu mianowania sędziów polubownych i oznaczenia procedury dla usunięcia trudności pewnych." Gdyby ten zgasły przedwcześnie uczony żył, z pociechą widziałby, że przepowiednia jego urzeczywistniać się zaczyna. Najpierwszy o sądach polubownych traktat zawiązują państwa, pomiędzy którymi trudności zachodzi najmniej. Jest to porządek naturalny i racyonalny. Inaczej prawie być nie mogło. Gdy spojrzymy z tego początku w przyszłość, przedstawia się ona w porządnych barwach pokoju, opartego na podstawie bardzo, niestety, do założenia trudnej: na podstawie sprawiedliwości międzynarodowej. Mówimy: trudnej; ale— czyż łatwem było zaprowadzenie sprawiedliwości w stosunkach międzynarodowych? Przyjdzie i ona kiedyś, jeżeli się o to ludzie postarają.

Do tej samej, co sądy polubowne, kategoryi należy sprawa neutralizacyi, poruszana coraz to częściej i coraz to mocniej, mianowicie w odniesieniu do dróg komunikacyi wodnej. W tym zakresie uważać ją można za na pół załatwioną, zwłaszcza do morza. W czasach rozmaitych, w traktatach pomiędzy państwami różnemi uznawaną bywała neutralność morza; uznanie jednak jej najwyraźniejsze nastąpiło dopiero w r. 1856 (czerwca) pod postacią deklaracyi, podpisanej przez członków kongresu paryskiego, orzekającej, że „flaga neutralna osłania towar nieprzyjacielski, z wyjątkiem kontrabandy wojennej." Nie tak wyraźnie zastrzeganą bywała neutralność rzek. Ta ostatnia ulegała zmianom, stosujących się do nastroju chwili. Dunaj, np. był raz neutralnym, znów nie, niekiedy zaś neutralność jego tłomaczono sobie rozmaicie. Brak tu jeszcze wyraźnego określenia szczegółów, przywiązanych do stanu wojennego. W razie wojny neutralność rzek, ściśle przestrzegana, stałaby się dla stron walczących przeszkodą nie do przełamania, uniemożliwiającą kroki bojowe całkowicie. Ta to własność, czyni ją wielce pożądaną dla tych, co nie wierzą w laury na polach zapasów Marsowych zebrane. Tem bardziej domagają się oni neutralizacyi nietylko już rzek, ale cieśnin, przesmyków, kanałów, wszystkich, słowem, dróg wodnych handlowych, zostawiając na użytek amatorów szczęku oręża te tylko rzeczki, po których okręty z towarami płynąć nie mogą. Domaganie się to obejmuje kanał suezki i mający w przyszłości niedalekiej powstać kanał panamski. Ostatnimi czasy celem usiłowań w tym kierunku stała się rzeka Kongo, stanowiąca najpierwszą dostępną drogę komunikacyjną z wnętrzem Afryki. Ku niej zwróciła się działalność podwójna: rządowa francuska i prywatna, pozostająca pod patronatem króla belgijskiego. Pierwsza zamierza zagarnąć drogę pod prawa zwierzchnicze Francyi, druga wywiesza sztandar międzynarodowy, żadnej zwierzchniczości nie ulegający, a zatem neutralny. Stowarzyszenie belgijskie dostało się do rzeki od strony wschodniej, z Zanzibaru; głównym jego agentem jest sławny Stanley. Francya, w imieniu której występował porucznik marynarki p. S. de Brazza, dostała się do koryta Kongo od ujścia i zajmowała wybrzeża w kierunku odwrotnym. Panowie Stanley i de Brazza, idąc jeden naprzeciwko drugiego, zakładali stacye, zetknęli się i pokłócili. Było to rzeczą nieuniknioną. Jeden niósł chorągiew bezimienną, drugi francuską. Zachodzi pytanie: który ustąpić powinien? Z pytaniem tem wiąże się inne; ponieważ droga przez dwu pośredników odkryta, otwiera się przedewszystkiem dla handlu, a zatem: kto ją ma obezpieczać? Czy Francya, czy nierozporządzające żadną siłą orężną stowarzyszenie prywatne, czyli też rozporządzający asagajami, nożami i łukami, dzicy a w mięsie człowieczem smakujący mieszkańcy wybrzeży Kongo? Dosyć kłopotliwa to kwestya do rozstrzygnięcia. Dla rozwikłania jej przydałby się sąd jakiś — i są tacy nawet, co przypuszczają, iż Francya, nie chcąc korzystać z przewagi, jaką jej przemoc z góry zapewnia, odda sprawę pod uznanie trybunału polubownego. Zobaczymy to w przyszłości niedalekiej, tymczasem zaś stowarzyszenie belgijskie, tytułujące się „międzynarodowem afrykańskiem." niebo i ziemię porusza, dla zatrzymania drodze rzecznej Kongo charakteru neutralności.

Najbardziej jednak zajmująco sprawa ta występuje w państwach skandynawskich. Lat kilka temu puszczono ją równocześnie prawie w Danii, Szwecyi i Norwegii i zrobiła już drogi nie mało. Ruch zaczął się w Danii, niewyraźnie naprzód, następnie zaś, gdy w r. 1878 duńczycy spostrzegli, iż Prusy, niedotrzymują artykułu 5 traktatów wiedeńskiego i paryskiego nie przez prostą fantazyę, ale dlatego, żeby opanować Mały Bełt — rozwinął się żywo. Idzie tu bowiem nie o co innego, jeno o ich niepodległość polityczną. Posiadając Szlezwig północny, który, według dwukrotnie powtórzonego traktatowego zobowiązania, Prusy Danii zwrócić były powinny, Niemcy o dwa marsze tylko oddalone są od północnego ujścia cieśniny. Rzut jeden i opanować je mogą, to znaczy, mogą pochwycić jeden z trzech kluczów morza Baltyckiego. Pochwycenie jednego poprowadziłoby do pożądania drugiego (Wielki Bełt) i trzeciego (Sund). O pożądanie takie można, bo należy, posądzać państwo, co zobowiązań uroczystych nie dotrzymuje. Wobec nie nader różowej perspektywy dostania się pod panowanie niemieckie Dania o obronie własnej myśleć musi. O obronie — jakiej? Czy orężnej? A! Jedno rzucenie na odlew prawicy niemieckiej starczyłoby na obalenie Danii. Dla tej ostatniej przeto w ubezpieczaniu niepodległości własnej, nie pozostaje nic innego, jak postawienie siebie w warunkach takich, w jakich pozostają Szwajcarya, Belgia i w ks. Luksemburskie, w warunkach neutralności wiecznej (*neutralité perpétuelle*). Neutralność taka jest zdobyczą czasów najnowszych. Starożytni nie znali jej, ani z nazwy nawet H. Grotius, dla oznaczenia neutralnych używa wyrazu *medii*; Bynkershock nazywa ich *non hostes*. O neutralności wiecznej, czyli bezwzględnej, mowy nie było do czasu kongresu wiedeńskiego; najpierwszem zaś państwem, któremu ona przyznaną została, była Rzeczpospolita krakowska. Szwajcaryę uznano neutralną w siedem miesięcy później; na Belgię i na Luksemburg przyszła kolej w latach 1831 i 1839. Z czterech tedy państw zneutralizowanych trzy na tem wyszły jaknajlepiej. Szansa więc dla państw skandynawskich ubezpieczenia niepodległości swojej za pomocą środka tego przedstawia się jak 3:4— szansa znaczna, której one chwytają się, niby deski zbawienia. Agitacya w kierunku tym wzrasta. W Danii deputowany Fr. Bajer gromadzi materyały dla wniesienia sprawy do sejmu. W Szwecyi deputowani K. P. Arnoldson i C. Adelsköld uzyskali dla niej w sejmie uznanie połowiczne. W Norwegii przeszła na wniosek dep. Jakobsona. Są to znaki czasu, znamionujące, że dążenia pokojowe z konieczności rzeczy rozwijają się i zyskują coraz to nowy grunt. Zaznaczamy to dla wiadomości, a nie jest to wiadomość niepomyślna.

*T. T. Jeż.*

# Żelazne prawo.

## IV.

Podług Marxa, jak już nadmieniliśmy, przy dzisiejszym ustroju społecznym, na rynku pracy istnieje stale nadmiar rąk, bez względu na to, czy liczba ludności roboczej wogóle powiększa się, zmniejsza lub nie zmienia. Wieczną tę przewyżkę powodować ma zastosowanie do przemysłu maszyn, które, mnożąc wytwórczą siłę pracy, pewną część robotników, zajętych uprze-

dnio w danej gałęzi produkcyi, wyrzucają na bruk. Trzeba przyznać, że w pierwszej chwili po wprowadzeniu do przemysłu jakiejś nowej maszyny, ułatwiającej pracę, rzeczywiście ogólnie to następuje. Ta też smutna okoliczność, wspólnie z rozmaitego rodzaju przesileniami ekonomicznemi, jest główną przyczyną niepewności bytu robotników. Stanowi ona palącą ranę dzisiejszego społeczeństwa, której zagojenie powinnoby być najważniejszą troską ludzi z sercem i głową, najpierwszem staraniem wszystkich uczciwych rządów.

Niepodobna jednakże zgodzić się na to, żeby niekorzystny ów wpływ ulepszonej produkcyi działał stale, jak to Marx utrzymuje. Po wprowadzeniu maszyny do danej gałęzi przemysłu, wyroby jego tanieją odpowiednio do zmniejszenia się kosztów wyrobu, a skutkiem tego koło ich spożywców rozszerza się. Zwiększone zapotrzebowanie wywołuje wzrost wytwórczości, dzięki czemu pozbawieni czasowo zajęcia robotnicy wracają znowu do warsztatów. Pewna ich część przytem może znaleść zajęcie przy budowie maszyn, jeżeli one wyrabiają się w tym samym kraju, w którym są stosowane. Gdy jeszcze dodamy, że w dziejach wielkiego przemysłu nierzadkie spotykamy fakty, iż liczne kierunki jego, a przedewszystkiem dwa najważniejsze — tkacki i żelazny—po ustaleniu się w nich produkcyi maszynowej, dzięki rozrostowi ilości konsumentów, dały i dają dziś zatrudnienie nieskończenie większej liczbie robotników, niż za czasów panowania w nich rękodzielnictwa, ponury obraz złowrogiego wpływu maszyn na położenie robotników, jaki namalował Marx wswym *Kapitale*, w daleko jaśniejszem przedstawia się nam świetle.

Ostatecznie jednakże, wobec niezupełności tych statystycznych danych, jakie obecnie posiadamy i nadzwyczajnej złożoności procesu pracy przemysłowej w dzisiejszych społeczeństwach, za pomocą badania szczegółowych faktów, ilu robotników produkcya maszynowa w danej gałęzi wytwarzania pozbawiła zajęcia i ilu ich w innej zatrudniła — rozstrzygnąć kwestyi wpływu maszyn na położenie robotników niepodobna. Ażeby odpowiedzieć zadowalniająco na to pytanie, nie ma, podług mnie, innej drogi, nad zbadanie, czy w krajach, gdzie wielki przemysł najbardziej się rozwinął, byt robotników wogóle polepszył się, lub pogorszył?

Gdyby złowieszcze twierdzenie Marxa było słuszne, w krajach najbardziej przemysłowych, gdzie produkcya maszynowa najszersze znajduje zastosowanie, gdzie, mówiąc językiem Marxa, *kapitalizm* najwyższego dosięgnął stopnia rozwoju — położenie robotników powinnoby być najgorsze. Tymczasem, na szczęście ludzkości, stosunki przedstawiają się wprost przeciwnie. Robotnicy angielscy, jak to powszechnie wiadomo, cieszą się daleko lepszym bytem, niż na stałym lądzie Europy; francuscy i niemieccy lepszym, niż rosyjscy, włoscy lub hiszpańscy. Zwolennicy żelaznego prawa, pragnący koniecznie dowieść jego istnienia, starają się dobrodusznym swym wielbicielom zamydlić oczy twierdzeniem, że fakty te nie są bynajmniej skutkiem dodatniego wpływu rozwoju przemysłu na byt robotników, lecz jedynie wynikiem przyjętych w danym kraju zwyczajów: robotnik angielski nawykł do jedzenia *roastbeefu* i *beefsteaksu*, francuski do *côtelettes de mouton* i *veau à la sauce blanche*, dlatego płaca robocza musi im zapewnić możność używania mięsa; robotnik rosyjski przyzwyczaił się do kapusty i chleba razowego, więc zarobek wystarcza mu tylko na tę grubą strawę. W myśl logiki tych panów (zapożyczę tu porównania u Adama Smitha) jeżdżący karetą nie dlatego nią jeździć mogą, że są bogaci, lecz dlatego są bogaci, że nią jeżdżą! Kto tak oryginalną logiką posługiwać się nie chce, z faktu, że w krajach więcej przemysłowych płaca jest wyższa, musi wnosić, że rozwój przemysłu prowadzi za sobą polepszenie bytu robotników.

Słuszność tego wniosku świetniej potwierdzają statystyczne dane, dowodzące, że we wszystkich krajach i okolicach nawet, gdzie przemysł się usadowił, równolegle z jego rozwojem podnosiła się stale wysokość płacy roboczej. Rozpatrzmy te dane dla krajów, których statystyka jest najdokładniejsza — dla Anglii i Francyi.

Adam Smith świadczy, że pieniężne wynagrodzenie robotnika było w pierwszej ogółem znacznie wyższe, ceny zaś zboża niższe w wieku XVIII, niż XVII. Cyfry, zebrane przez Hildebranda *) stwierdzają prawdę tego świadectwa oraz dowodzą, że i w posmithowskich czasach zarobek w Anglii ciągle się podnosił, równolegle z rozwojem przemysłu. Najemnik, podług tego uczonego, zarabiał przeciętnie jeden *quarter* pszenicy: za czasów Elżbiety w ciągu 48 dni, w XVII wieku w ciągu 43; między r. 1700 a 1766 przez 32, między 1815 a 1848 przez 19 do $28^{3}/_{4}$ najwyżej. Od r. 1848 do naszych czasów, jak już wspomnieliśmy w jednym z poprzednich artykułów, płaca robocza w Anglii podniosła się wogóle co najmniej o 20%, a jednakże jest to kraj, w którym maszyny szersze, niż gdziekolwiekbądź, znajdują zastosowanie, kraj, w którym kapitalizm najbujniej się rozwinął i w którym wszystkie złe strony tego systemu produkcyi najjaśniej, podług Marxa, się uwydatniają.

Przejdźmy do Francyi.

Oto jak maluje La Bruyère **) położenie wieśniaka francuskiego w drugiej połowie XVII wieku, za panowania Ludwika XIV.

„Na polach widać jakieś zwierzęta dzikie, samców i samice — czarne, chude i opalone promieniami słonecznymi, przywiązane do ziemi, w której grzebią. Mają one głos urywany, a gdy się podniosą, widzisz, że to postacie ludzkie. W istocie są to ludzie. W nocy chronią się do nor, gdzie żywią się czarnym chlebem, wodą i korzeniami; oszczędzają innym ludziom trudu siania, orania i zbierania, a za to zasługują przecież, żeby im nie brakło tego chleba, na który pracują."

„Przy pomocy wszystkich poszukiwań, jakie mogłem zrobić od kilku lat, w ciągu których zajmuję się tym przedmiotem — pisze Vauban ***) w r. 1707 — zauważyłem, że w ostatnich czasach blisko dziesiąta część ludności doprowadzona jest do żebractwa i żebrze rzeczywiście; że z dziewięciu innych części—pięć nie jest w możności dawać jałmużny pierwszej, ponieważ same znajdują się w równie prawie, jak ona, nieszczęsnem położeniu. Z czterech pozostałych części trzy są bardzo niezamożne i znajdują się w ciągłych kłopotach z powodu długów i procesów, a ostatnia dziesiąta część... nie liczy stu tysięcy rodzin; sądzę przytem, że nie skłamałbym, gdybym powiedział, że nie ma dziesięciu nawet tysięcy rodzin, które można by nazwać bardzo zamożnemi"

W r. 1740 Massillon, biskup z Clermont-Ferrand, pisze do kardynała Fleury, pierwszego ministra Ludwika XV: „Lud wiejski żyje w okropnej nędzy, bez łóżek, bez sprzętów; większa część jada przez pół roku chleb jęczmienny i owsiany, który jest jej jedynem pożywieniem, a który musi jeszcze sobie i dzieciom swoim od ust odejmować, aby zapłacić podatki" ****).

O ileż byt robotnika francuskiego, zarówno wiejskiego, jak przemysłowego, polepszył się od owych smutnych czasów! Podług Moreau de Jonnès *) średni zarobek rodziny francuskiego robotnika rolnego wynosił rocznie:

| | |
|---|---|
| W roku 1700 | —135 franków |
| „ 1759 | —126 „ |
| „ 1788 | —161 „ |
| „ 1813 | —400 „ |
| „ 1840 | —500 „ |

Jak widzimy z tej tabelki, w ciągu 80 lat, od 1760 do 1840 r., wysokość płacy robotnika rolnego we Francyi podniosła się w czwórnasób. Niemniej polepszył się tam byt robotników przemysłowych w wieku obecnym, a szczególnie w ciągu ostatnich trzech lat dziesiątków, czego, jak już wyżej nadmieniliśmy, dowiódł niezbicie, używając różnych metod i posiłkując się wielką liczbą cyfr, Paweł Leroy-Beaulieu. Brak nam tutaj miejsca na przytoczenie bodaj części zebranych przez niego danych, lecz skorzystamy dla przykładu z kilku przynajmniej wiadomości, jakie spotykamy u niego, co do skali zarobku robotników paryskich różnych fachów w r. 1880, zestawiając je z takiemiż cyframi z r. 1847, podanemi przez Ludwika Blanca **). I tak, przeciętnie zarabiali dziennie w Paryżu:

| | W r. 1847 | w r. 1880 |
|---|---|---|
| piekarze . . . | fr. 3,75 | fr. 6 — |
| zduni . . . . | „ 4 — | „ 7 — |
| cieśle . . . . | „ 4,50 | „ 6 — |
| stolarze . . . | „ 3,50 | „ 6 — |
| mularze . . . | „ 4 — | „ 7—8 |
| giserzy wyrobów bronz. | „ 4 — | „ 8—10 1 12. |

Że z rozwojem nowożytnej cywilizacyi i związanego z nią nierozerwalnie wielkiego przemysłu dobrobyt klasy roboczej stale się polepsza, dowodzi również między innymi fakt, iż we wszystkich zachodnio-europejskich krajach przeciętny wiek ludzki w stuleciu obecnem ciągle wzrasta. Po szczegóły w tym względzie odsyłamy ciekawego czytelnika do dzieł Bernoullégo, Wappäusa, oraz do cytowanego wyżej podręcznika ekonomii Roschera. Wyjątek z wymienionego prawidła stanowią jedynie Prusy, gdzie też zarazem i dobrobyt klasy roboczej najmniejszy w całych Niemczech wykazuje postęp. Przyczyną tego zjawiska zdaje się być gniotący ludność tamtejszą militaryzm i nadmierne podatki.

Tak więc, jak widzieliśmy, złowieszcze prawo żelazne płacy roboczej panuje dziś jedynie w głowach jego zwolenników. W rzeczywistości ludzkość pod każdym względem kroczy ciągle naprzód. Położenie tej klasy, na której krwawym trudzie opiera się byt społeczeństw, stały, acz powolny, wykazuje postęp. Czyż jednakże dowodzi to, że kwestya społeczna nie istnieje?

Bynajmniej. Istnieniu jej mogą zaprzeczyć tylko umysłowo ślepi, lub obłudnicy, lecz źródłem jej, zdaniem naszem, nie jest pogorszenie się, lecz poprawa stosunków ludzkich wogóle. Na świecie jest lepiej, niż było niegdyś, lecz nie jest jeszcze tak dobrze, jakbyśmy tego pragnęli, lub dokładniej: jakbyśmy dziś mieli prawo tego żądać, licząc się ściśle z warunkami możliwości. Rzeczywistość, pomimo niezaprzeczonego postępu, jaki dzieje ostatniego stulecia przedstawiają, nie odpowiada dziś jeszcze nietylko już ideałom naszym lecz n. jumiarkowańszym nawet żądaniom. Ośmieleni dokonanemi już zdobyczami wiedzy, w poczuciu własnej siły pniemy się dumnie myślą coraz wyżej; zaradziwszy już wielu potrzebom, jakie nam przeszłość w spadku przekazała, pragnęlibyśmy uleczyć wkrótce i wszystkie te, które nam dziś jeszcze dolegają. Uszlachetnieni hu-

* *National-Oekonomie der Gegenwart und Zukunft.*

**) *Caractères*, artykuł *De l'homme*, cyt. u Emila de Laveleya, *Zasady ekonomii politycznej.*

***) *La dime royale.*

****) Cyt. u Emila Laveleya.

*) *Journal des Economistes* Octobre 1850, cyt. u Roschera, *Nationaloekonomie.*

**) *Organisation du travail*, Paryż, 1848.

manitarnemi ideami, wierzący w równe prawo wszystkich ludzi do szczęścia, nie możemy już dziś spokojnie patrzeć na te rażące nasz wzrok różnice położenia, jakie dzielą masy ludu pracującego od szczęśliwych wybrańców losu. W tem bierze źródło kwestya społeczna.

Oświata, przenikając coraz szersze warstwy ludu, otwiera mu oczy na otaczające go stosunki; uczy go, że to, co dawniej przedstawiało się jego umysłowi ograniczonemu, jako nieunikniona fatalność jego bytu, może i powinno być usunięte, budzi w nim niezadowolenie, opór i dążenie do reform. Dopóki ciemnota trzymała umysły w swych haniebnych więzach, o żadnych kwestyach socyalnych nie słyszeliśmy, chociaż stosunki ówczesne były daleko gorsze niż dzisiaj. Gdy szlachetniejsze jednostki, wyprzedzając myślą czas, zwracały się niekiedy w minionych wiekach do mas z niezrozumiałemi dla ich ciemnych głów ideami, słowa ich przebrzmiewały bez oddźwięku, jak głos wołającego na puszczy.

Kwestya socyalna więc istnieje, lecz rozstrzygnąć ją jednym zamachem pióra lub jednym dekretem prawodawczym, zdaniem naszem — nie można. Nad rozwiązaniem jej będą pracowały wieki, a chociaż wątpliwą jest rzeczą, żeby wymarzony przez zbyt rozegzaltowane umysły ideał zupełnej równości powszechnej i powszechnego szczęścia mógł zstąpić na ziemię, to jednakże nie mamy żadnej zasady do powątpiewania, że z biegiem rozwoju cywilizacyi stosunki ludzkie stale, acz może powolnie, coraz bardziej zbliżać się będą do tego ideału. Jaką drogę ludzkość w pielgrzymce ku temu celowi obierze, kryje to jeszcze dziś przed wzrokiem umysłu naszego mgła licznych domysłów, przypuszczeń i teoryj, mniej lub więcej prawdopodobnych, lecz na mówienie o nich nie mamy tu miejsca.

Jedno tylko, zdaniem naszem, jest rzeczą pewną, a mianowicie, że postęp ekonomiczny musi zawsze i wszędzie być poprzedzony przez postęp polityczny.

*W. Wścieklica.*

---

## NOWA POSTAĆ NAUCZANIA W ANGLII.

S. Taylor złożył paryskiemu Towarzystwu ekonomii społecznej ciekawe sprawozdanie z rezultatów zastosowania w Anglii nowego pomysłu edukacyjnego, który w drobnej mierze niedawno i śród nas kiełkował.

Posłuchajmy go.

Student na przeżycie tych sześciu miesięcy, które przebywa rocznie w uniwersytecie, potrzebuje mieć 4,000 franków, a trzech lat potrzeba, aby otrzymał stopień „bakalarza sztuki.“

Podwójna ta konieczność usuwa naturalnie wiele osób od wszechnic. Wobec takiego stanu rzeczy, James Stuart, profesor uniwersytetu w Cambridge, powziął myśl zorganizowania w wielkich ogniskach przemysłu angielskiego „misyj“ profesorskich dla wykładu metod badania, które tak pomyślnie stosowane są w uniwersytetach. W początkach swego przedsiębiorstwa Stuart postępował zgodnie z przysłowiem angielskiem: „Jeżeli masz na sprzedanie dobry towar, to go nie chwal, ale daj próbkę.“ Wystąpił sam, urządzając wykłady w wielu miastach przemysłowych i w ten sposób wyjaśnił cel swój daleko dokładniej, aniżeli by to mógł uczynić najwymowniejszym opisem. Jednem z pierwszych jego usiłowań był kurs astronomii, zawarty w sześciu lekcyach, a wygłoszony w Crewe wobec 600 robotników i oficyalistów wielkiej fabryki maszyn parowych, jaką posiada w tem mieście kompania „London and North-Western Railway.“

Powodzenie pierwszych zaraz jego wykładów, uwaga słuchaczów i wyraźne owoce stąd osiągnięte, były skutecznym środkiem propagandy. Wkrótce uniwersytet w Cambridge utworzył stałą komisyę do organizacyi tego nowego sposobu kształcenia, a w Londynie powstał osobny komitet dla szerzenia szczęśliwego pomysłu w różnych częściach stolicy, łącznie z trzema uniwersytetami: oksfordskim, cambridgskim i londyńskim, działającymi za wspólnem porozumieniem się.

Już dziś w wielkich miastach Sheffield, Nottingham i Liverpool istnieją bogato uposażone kolegia, które odtąd w sposób zupełnie niezależny poniosą w masy pochodnię wyższej wiedzy. Kurs, wykładany pod opieką uniwersytetu, zawiera zwykle dwanaście co-tygodniowych odczytów, trwających mniej więcej godzinę. Przed lub po lekcyi odbywa się powtórzenie („klasa“) przez pół godziny i dłużej. Na każdym wykładzie rozdawanym bywa drukowany *Sylabus* w przedmiocie, o którym była mowa, przed końcem zaś profesor wymienia kilka kwestyj lub pytań, co do których pragnąłby za tydzień otrzymać od uczniów piśmienne prace. Prace te, poprawione, zwraca na następującej „klasie,“ robi kilka uwag nad otrzymanemi ćwiczeniami, bada słuchaczów co do wybitniejszych punktów poprzedzającego wykładu, odpowiada na pytania przez nich stawiane, daje bardziej szczegółowe wyjaśnienia ukształceńszym itd. „Klasy“ nie są obowiązujące dla uczęszczających na kursa.

Każdy uczeń wykładów i „klas“ dostaje odpowiednie świadectwo obecności. Ażeby je otrzymać, potrzeba: 1) mieć profesorskie potwierdzenie pilności i prac piśmiennych podczas kursów; 2) złożyć pomyślnie piśmienny egzamin przed innym profesorem (niewykładającym); mianowanym przez uniwersytet.

Śmiało twierdzić można, że przez taką ustawę uniwersytet zabezpiecza się dostatecznie od wydawania świadectw słuchaczom, których obecność na wykładach była tylko pozorną. Z jednej strony profesor dozoruje pilność uczniów, z drugiej egzaminator sprawdza owoce ukształcenia w przedmiotach, wskazanych przez drukowany *Sylabus*, do którego musi się ściśle stosować.

Filie uniwersyteckie nie mają na widoku wyłącznie jednej klasy społecznej. Są one zarówno korzystne dla młodych dam, wychowanych w Kryształowym Pałacu pod Londynem, jak dla górników węgla w hrabstwie Northumberland. Zdarza się często, że tegoż samego kursu słuchają przedstawiciele zawodów wolnych i prości robotnicy. Zlecenie więc dane profesorowi nakazuje mu, aby wykład był jednocześnie prosty i treściwy, aby łączył: *suaviter in modo* z *fortiter in re.*

Przedmioty, stanowiące treść lekcyj, odznaczają się wielką rozmaitością. Oto lista trzydziestu wykładów w Londynie do października 1882 r.: historya Anglii, historya rewolucyi francuskiej, historya reformacyi w Niemczech, literatura angielska, sztuka średniowieczna, astronomia, elektryczność, geografia, fizyka, fizyologia, biologia, ekonomia polityczna. Drugi program zawiera jeszcze: światło i ciepło, gieologię, fizykę ziemi, archeologię przedhistoryczną, logikę itd. Przytem — dzięki współdziałaniu uniwersytetów — każdą z nauk wykładają specyaliści i ludzi kompetentni.

Liczba uczniów, zapisanych na te trzydzieści lekcyi, wynosiła 1,755; średnio na każdej było obecnych 1,425; ilość uczęszczających na „klasy“ średnio: 850, prac piśmiennych przy każdym wykładzie podawano przeciętnie 333. Z owych 1755 przystąpiło do egzaminu 159, świadectwa otrzymało 134, czyli 25 tylko zostało odrzuconych.

Każde miasto, jeżeli chce korzystać z dobrodziejstwa takich wykładów, powinno utworzyć komitet miejscowy, któryby zapewnił uniwersytetowi 45 f. ster. (450 rs.) za pełny trzymiesięczny kurs. Uniwersytet z tej sumy daje 40 f. wykładającemu i 5 egzaminatorowi. Pozostają koszta wynajęcia sali, podróż profesorów itd., które komitet miejscowy również ponosić winien. Ażeby odzyskać te pieniądze, sprzedaje on bilety wejścia, co wszakże rzadko pokrywa wydatki. Zresztą w siedliskach robotniczych opłata jest bardzo umiarkowaną; tak np. na trzydziestu kursach 1882 roku w Londynie w nędznej dzielnicy Whitechapel ustanowiono taksę około 15 kop. za lekcyę. Przeciwnie w bogatych okolicach można było wyznaczyć 80 kop. za prawo wejścia. Dzięki ofiarom organizatorów, filia uniwersytetu cambridgskiego liczyła w całej Anglii (bez Londynu), podczas ostatnich trzech miesięcy 1883 r. — 3,800 uczniów, t. j. prawie dwa razy tyle, co studentów, wychowujących się w tymże samym czasie *in gremio almae matris* nad brzegami niepoczesnej i żółtej rzeczki Cam. Ofiary te jednak przestaną z czasem być potrzebne, gdy dostateczne powiększoną zostanie opłata w bogatych dzielnicach dla pokrycia niedoboru siedzib robotniczych.

Zdaje się, iż filie uniwersyteckie, uniesione propagatorskim zapałem, bez potrzeby sprzedały w bogatych dzielnicach swe usługi niżej kursu. Metr tańca pobiera w Londynie za lekcye, dawane w klasie co najmniej dwa razy tyle, niż kosztuje wejście na najbardziej drogi wykład uniwersyteckiej filii w tem mieście; podnosząc zatem cenę wykształcenia dla bogatych, uniwersytet posiadłby wszelką łatwość oddania swych usług biednym.

W Londynie właśnie, gdzie nagromadzenie bogactw dochodzi do ostatecznych granic, względy pieniężne układają się w sposób niebezpieczny dla uniwersyteckich filij i haniebny dla czci stolicy. Komitet londyński wpadłszy w długi, oświadczył, że dalej posuwać swej pracy nie może, jeśli nie otrzyma ze składek rocznie dodatkowo 500 funt. 25 kwietnia r. b. urządzono *public meeting* w urzędowej stolicy Lorda Mayora i pod jego kierownictwem. Mężowie stanu połączyli swe głosy z głosami wielu przedstawicieli uniwersytetów i robotników, aby z całą możliwą wymową stwierdzić dobrodziejstwa otrzymane przez szerzenie wyższej oświaty. Lord Mayor, który zwykle potrzebuje tylko zażądać, aby otrzymać i którego przez to nazywają największym żebrakiem królestwa, gorąco polecał nowe instytucye bogatym i szlachetnym współobywatelom. Rezultat był świetny. Całość składki dosięgła... 5 funtów, czyli akurat jeden procent sumy, uznanej za niezbędną! Haniebne!

„We wrześniu 1880 roku — opowiada Taylor — szczęśliwa sposobność pozwoliła mi widzieć działanie uniwer. filij wśród najbardziej interesującej ludności — górników z kopalni węgla w hrabstwie Northumberland. Przyjaciel mój M. Moorsom od października zajmował się wykładem ekonomii politycznej w pięciu górniczych wioskach z ramienia sąsiedniego uniwersytetu w Durham. Każdy odczyt i „klasa“ odbywały się oddzielnie w każdej wiosce, tak iż profesor musiał poświęcać pięć wieczorów na powtarzanie tegoż samego kursu. Podczas ostatniego takiego obrotu towarzyszyłem mu. Prócz chęci obejrzenia filii pragnąłem zapoznać górników z dobremi stronami stosowania zasady udziału w zyskach, którego jestem gorącym zwolennikiem. P. Moorsom pozwolił mi w końcu do każdej „klasy“ zwrócić się z kilkoma uwagami w tym przedmiocie. Jako dowód dobrego skutku wykształcenia przytoczę

ten fakt, że, na zarzuty, zrobione mi co do systemu udziałów, jeden ze słuchaczów zabrał głos i dobrowolnie odpowiedział.

We dwa lata potem można było ocenić błogie rezultaty takiej nauki. Ruch, zrodzony w Northumberlandzie i mający na celu podniesienie ceny węgla przez ograniczenie produkcyi, był energicznie zwalczony dzięki wiadomościom ekonomicznym, rozpowszechnionym przez Moorsoma. Były one potężną pomocą do wytłomaczenia górnikom niebezpieczeństwa takiego środka i do zupełnego jego odrzucenia."

Cały skreślony powyżej obraz ma dla nas dziś tylko znaczenie ciekawego i pouczającego widoku; zatrzymaliśmy na nim wszakże uwagę czytelników *Prawdy*, bo godzien tego jako nowy kierunek usiłowań szerzenia śród nas największej i najszlachetniejszej potęgi — wiedzy.

*K. T.*

---

## JASEŁKA KRAKOWSKIE.

*23 września.*

Szczególny zjazd. — Kwalifikacye na księżą gospodynię. — Zdumiewające cuda. — Wykwintna uczta. — Lud i koronacya. — Nasi demokraci. — Złudy dziennikarskie. — Dar Matejki.

Jeżeli już teraz nie zostałem świętym, prawdopodobnie nie zostanę nim nigdy. Kilkuset szykownych Kalchasów, nie licząc zakrystyanów i organistów, przybyło naraz do Krakowa pod wodzą aż dziewięciu wielkich augurów — to przyznasz czytelniku, nie żarty. W tak gorącej chwili można było zostać, co najmniej, prałatem, lub jego gospodynią. Takie cudowne przemiany były, a więc zapewne są możliwe. Przecie Sobieski, znany niedołęga, który ani jednej bitwy nie mógł wygrać, któremu, kto nie chciał, kroił kurtę — pomodliwszy się przed wyprawą wiedeńską do świeżo właśnie koronowanego obrazu w tutejszym kościele OO. karmelitów, odniósł zaraz świetne zwycięstwo. Inny cud. Wojtek Łopata miał od urodzenia tylko jedną nogę. Biadał nad swem kalectwem i biadał, we dworze nie chciano dać mu roboty, w domu żona go tłukła. Strapiony „ofiarował się" pewnego ranka — i do południa wyrosły mu naraz trzy nogi. Miał więc potem cztery, jak jego jałówka, źrebak i reszta dobytku. Inny cud. P. St. Tarnowski był za młodu zacnym i porządnym hrabią; w r. 1864 — 65 odsiadywał nawet w Ołomuńcu austryackie więzienie razem z Mieczysławem Pawlikowskim, Tadeuszem Romanowiczem, Bernardem Kalickim itp. W tem, jak mówią, „ofiarował się" — i zaraz został stańczykiem! Dla przykładu jeszcze cud. Ksiądz J. Poszakowski pod datą 2 lipca opowiada w *Kalendarzu jezuickim na rok 1740*, że niejaki Realini, bernardyn, rektor jakiegoś kolegium, mając raz u siebie na wizycie „czterech świętobliwych braci koadyutorów, prosił pokornie oraz *poufale* Matki boskiej, aby sług swoich poczęstowała." „Pokorną oraz *poufałą*" prośbę Matka boska spełniła. W godzinę obiadową zjawiło się nagle w celi klasztornej „*pięć* nadobnych młodzianów, niosących *delikatnie* potrawy, garnek... rosołu, troje... prosiąt, tort bardzo słodki, cztery placki okrągłe, kilka sztuk *regiae pastae*, gałeczek cukrowych dostatek i wina trojakiego trzy butle. Wieczorem znowu wyprawiła Matka boska wspaniałą fetę, z sałaty znakomicie przyprawnej, trzech bażantów, cielęciny „pieczonej bardzo delikatnie" etc.

Chciałoby się bez końca podziwiać wyborną kuchnię królowej niebios i jeszcze lepszy apetyt „świątobliwych braci koadyutorów," ale skończę już z „cudami" spiesząc do refektarza OO. karmelitów krakowskich, gdzie bez pomocy Matki boskiej zastawiono po ukończonej koronacyi suty bankiet. Wesoło, przyjemnie bawiono się za stołem, wychylając toasty to na cześć papieża, to panującego nam Habsburga; tryskał promienisto omszały węgrzyn z kielichów, pachniały wspaniale pulardy i wabiły majonezy, szklił się barwisto humorek. Byłoż, bo było czem się radować! Klasztor stanął na wybitnem stanowisku, zapewniono mu powodzenie i dobrą reputacyę, a blisko 50 tysięczny tłum ciemnego ludu pochłonął niezliczoną moc różnych pamiątek uroczystościowych, gwizdawek z św. Aurelim, skaplerzy, różańców i obwarzanków z Ziemi obiecanej. Pytanie tylko, czy i ten lud także miał się z czego cieszyć? Z pewnością, gdyby on umiał rozróżnić wzniosłą naukę mistrza z Nazaretu od tej mętnej mikstury, jaką podaje kościół szukającym siły i oparcia w wierze; gdyby on mógł zoczyć ów okropny kaptur wiecznej ciemnoty, którym usiłuje zakryć głowę prostaka duchowieństwo, aby nim powodować według woli, jak bezmyślnem jagnięciem — z oczu jego gorzki i palący pociekłby zdrój. Ale tak nie jest. Lud nasz wciąż jeszcze podobny do dziecka: bierze na ślepo, co mu dają — nie zastanawia się, nie rozważa. Jego umysł, gnębiony od wieków ciemnotą i fałszywemi wyobrażeniami o religii, trapiony nieustannie strachem, groźbą i widmami apokaliptycznemi, jest dotąd jeszcze pierwotnym w rzeczach wiary i nieprzystępnym dla wszelkiej refleksyi. Co jednak znaczyło, że owe tłumy przybyłych do Krakowa prostaczków, opuściły miasto smutne, ze ściągniętemi płaczliwie ustami, znękane? Wszak nie spłynął tu na nich Duch św. i nie oswobodził ich oczu z bielma nieświadomości? Nie, cud taki się nie zdarzył. Inny czynnik tego dokonał. Przedewszystkiem ci zagorzalcy, co z uszczerbkiem czasu, zdrowia i ciężko zapracowanego grosza, o głodzie i chłodzie ściągnęli do Krakowa, aby cudowny obraz oglądać, zwierzyć przed nim swe bóle i troski — zastali dla siebie drzwi kościoła zamknięte. Wpuszczano tam tylko „znakomitsze" osoby, jak do teatru — za biletami. O umożebnieniu ludowi w ciągu paru dni przystępu do upragnionej dlań kaplicy nie pomyślano — tak, iż większa część przybyłych nawet progu świątyni nie przestąpiła. Błąkało to się samotne przez cały dzień po mieście, ocierając nos połą siermięgi, narzekając na opuszczenie i nieludzkość. Przytułku także nie obmyślono dla nich, jak należało. Bo i po co? Przecie w Krakowie kamieni i rynsztoków nie brak — przytem dla młodych dziewczyn nie brak usłużnych kawalerów! O nocleg w tem poczciwem mieście, jak zresztą w każdem, bardzo łatwo, nawet o wygodny. Co do deszczu, ten wprawdzie siekł przenikliwie dzień i noc — ale to nie nowina; albo to pierwszy raz pada!

A! panowie „demokraci" krakowscy, wy, którzy w parę dni potem tak prześcigaliście się w usługach dla parobków i dziewcząt od krów, jakby w stodole zrodzeni, gdzieżeście wtedy byli?! Pobożni OO. karmelici, tłomacząc ich, pocieszali się w strapieniu koronacyjną amnestyą Rzymu dla dusz zbłąkanych — lecz wy?! Czyżby dla was wieśniak inną wtedy, a inną później przedstawiał wartość? Bolesna farsa! Gdy nam chłop potrzebny, czy to podczas wyborów sejmowych, czy do ratowania płonących spichlerzy, czy też do urządzenia jakiej parady publicznej, serca nasze jak groch wówczas pęcznieją. Gotowi wówczas jesteśmy bodaj wycałować jego brudną i spoconą szyję, a jego babę zwać etykietalnie „panią dobrodziejką." A potem? Potem, gdy przed gankiem naszego dworu lub w przedpokoju stanie podczas przednówku przybity biedą i spłakany wiejski hellota, już sam jego widok „nie mile nas razi," biegniemy co prędzej napić się piołunówki, albo poszczuć psy. Oto charakterystyczny rys sławionej miłości dla ludu! Nie przeczę, że zarówno w mieście, jak na wsi są u nas obywatele, prawdziwym duchem demokratycznym ożywieni, ale to wyjątki i w każdym razie bardzo nieliczne. W naszej chłopomanii większą odgrywa rolę fantazya lub moda, więcej tam krzyku i hałasu, więcej sztucznych blasków, niż szczerego uczucia. W ostatnich czasach zstąpiliśmy bezwątpienia o parę stopni niżej „z pałaców sterczących dumnie," lepianka chłopa nawet wzrusza nas tkliwie swym „poetycznym nieładem" i „malowniczą nędzą," lecz to prawdziwe zbliżenie się do ludu, to jego ukochanie serdeczne i gorące, o jakiem lubią bajać gazety, jest jeszcze niczem więcej, tylko frazesem, płaconym po dwa lub trzy centy od wiersza.

Z drugiej znów strony frazesem jest także, niestety, twierdzenie, jakoby w chłopie naszym rozbudził się duch obywatelski, jakoby on przyszedł do samowiedzy. Gorzko wyznać, ale dużo wody w Wiśle upłynie, zanim to nastąpi. Zbyt długo był dla nas lud bydlęciem, aby nagle mógł się stać człowiekiem. Potrzeba wiele pracy, wiele starania, aby powrócić mu to, cośmy w nim zabili. Twierdzono, że na niedawne uroczystości tutejsze wieśniacy przybyli z własnej inicyatywy, wskutek poczucia się do patryotycznego obowiązku. Ale to frazes i frazes! „Przybycie na uroczystość przedstawicieli ludu — wołał nieprzytomnie pewien dziennik krakowski — jest faktem radosnym, zdarzeniem *wielkiego znaczenia*, zapowiedzią *nowej* w dziejach narodowych *ery*, bo świadczy dowodnie, że miłość ojczyzny, gorąca, żywa i *do poświęceń* skłonna płonie w sercach" etc. Co słowo, to fajerwerk. Niestety, „przybyli," bo im kazano, albo dano po kilka reńskich. Gdzież więc owo „zdarzenie wielkiego znaczenia," „zapowiedź nowej ery" itd? Z bolesnym uśmiechem kładziesz na stół gazetę. Panowie dziennikarze, nie sypcie nam i sobie piaskiem w oczy! Tylko znajomość rzeczywistego stanu rzeczy, tylko naga choć smutna rzeczywistość, tylko surowe wskazanie społeczeństwu, ile jeszcze ma do pracy, może dać mu to, czego niema.

Zatrzymawszy się nad jednym przedmiotem nieco dłużej, nie wiele mi pozostaje miejsca na inne sprawy. Jedną z najgłówniejszych była sprawa ofiarowania przez Matejkę *Sobieskiego pod Wiedniem* papieżowi, na co już *Prawda* w ostatnim numerze rzuciła właściwe światło. Nie potrzebuję więc wykazywać błędnego mniemania, jakie kierowało Matejką przy złożeniu daru, zaznaczę tylko co do samego faktu, iż wywołał on w Krakowie fatalne nad wyraz wrażenie. Czczony bezgranicznie i uwielbiany twórca *Grunwaldu*, znalazł się nagle w upokarzającem odosobnieniu. Rano, prześcigając się w owacyach i entuzyazmie, spieszono na Wawel składać mu hołdy — wieczorem, gdy zawitał do teatru na urządzone dlań uroczyste przedstawienie, zachowano względem niego chłód i sztywność, postąpiono wymijająco, jakby nie istniał. Chłód ten ujawniał się na każdym kroku, objął całe miasto, wszystkie sfery, z wyjątkiem księży i stańczyków, którzy wywracali koziołki z radości. Jednych dotknęło lekceważenie przez Matejkę ofiarności ogółu, inni uważali jego czyn za wielce niestosowną manifestacyę w dobie wyswobodzenia się narodu z pod klerykalnego jarzma, a wszyscy łączyli się w powszechnym tonie niezadowolenia i goryczy dla mistrza. Rozdrażnienie doszło nawet do tego stopnia, że w Kole lit. art. przy wzniesieniu toastu na cześć Matejki, ozwało się — sykanie. Biedny człowiek! Niedawno jeszcze klękano przed nim jak przed bogiem, dzisiaj ciż sami chwalcy

i czciciele odwracają się od niego. Gdym po ofiarowaniu przezeń *Hołdu pruskiego* krajowi, z warunkiem, aby obraz wisiał *w cesarskich komnatach*, wyraził w pewnem kółku znajomych żal, iż mistrz Jan, dziecię Krakowa, któremu wiele zawdzięcza, który wespół z całym krajem tak go szczególnie ukochał, tyle złożył mu dowodów czci, tak jego sławę rozgłaszał i przychodził nieraz z pomocą materyalną— nie poszedł śladem obcego nam twórcy *Świeczników chrześciańtwa*, kładących podwalinę *Muzeum narodowemu* — zakrzyczano mnie, nie pozwolono mówić, chociaż *tylko żal wyrażałem*. Dzisiaj to samo kółko, gdym się przypadkiem w niem znalazł, odsądziło Matejkę nawet od mistrzowstwa. Biedny człowiek! Lecz jakąż litość budzą ci, co zapewniają, że on swą milczącą pracą więcej zrobił dla kraju, niż wszyscy nasi polityczni krzykacze. Takich jak on ludzi tarzać nam po ziemi nie wolno. Można się tylko skarżyć, jak ów baranek Słowackiego, co wpatrzony „w słoneczną mgłę,“ wołał żałośnie „pod bramą z tęczy:“

„We! we! — We!“

*Prawdzic.*

## J. BAUDOUIN DE COURTENAY.

Ziomek nasz, którego tak pragnęlibyśmy widzieć pracującego w uniwersytecie warszawskim, opuścił katedrę lingwistyki porównawczej w Kazaniu i objął ją w Dorpacie. Nie mogąc go pozyskać dla naszej młodzieży, przypomnijmy chociaż jego zasługi naukowe, które go jedynie tak szybko i tak wysoko postawiły.

Jan Baudouin de Courtenay był wychowańcem Szkoły Głównej w Warszawie, którą chlubnie z tytułem magistra ukończył. Doktoryzowany w Lipsku i Petersburgu, otrzymał godność profesora języków słowiańskich w Kazaniu. Kilkoletni jego tam pobyt, nacechowany niezwykłą ruchliwością w pracy piśmienniczej, tudzież uprzejmością w postępowaniu z młodzieżą, pozostawił po sobie długotrwałe ślady.

Już jako student, będąc uczniem prof. Józefa Przyborowskiego i zgasłego w kwiecie lat męskich lektora języka czeskiego Franciszka Kwieta, przetłomaczył rozprawkę dra Purkyniego: *O korzyściach z ogólnego rozprzestrzenienia łacińskiego sposobu pisania w dziedzinie języków słowiańskich* (1865) i *Popularną naukę wychowania* Kwieta. Na recenzyę rozprawy Purkyniego przez p. Kotkowskiego w *Tygodniku Ilustrowanym* (1865) napisał odpowiedź, którą, gdy redakcya nie chciała w szpaltach swoich wydrukować, w osobnej ogłosił broszurze.

Stanowisko Baudouina w nauce objaśnić możemy czytelnikom ogólnie, gdyż na szczegółowsze wywody brak tu nam miejsca i właściwego pola.

Zadaniem lingwistyki porównawczej jest śledzenie krytyczne i odkrywanie najdawniejszych form językowych, w ciągu rozwoju dziejowego powstałych *); nauka bowiem używania prawideł gramatycznych i stylistycznych należy do dydaktyki i estetyki. Ponieważ pożytek praktyczny tej nauki nie jest tak widocznym w zastosowaniach swoich, jak np. chemii, fizyki, mechaniki itp., lubo ona zajmuje się badaniem form, w które człowiek myśli swoje przelewa, nie stała się więc popularną śród ogółu. Pochodzi to też i z wielu innych przyczyn, a między innemi i z tej, że niektórzy pisarze narzucają jej służbę celom ubocznym, nakręcają do nich fakty, inni znowu, rzekomi obrońcy czystości mowy, odstręczają przesadą w objaśnieniu tak zwanych *wyjątków gramatycznych*, które są bądź skamieniałościami form zaginionych, bądź też zarodem nowych języka prawideł.

Jedynie metoda historyczna, wykazująca rozwój i rodowód zjawisk od pierwotnego ich poczęcia, stanowić może wiedzę indukcyjną. Siły języka są to przyczyny ogólne, czyli czynniki, powodujące rozwój mowy i wynikający stąd jej układ, tudzież ustrój. Siły te przejawiają się: 1) w nałogu czyli pamięci bezwiednej, 2) w dążności do udogodnienia wyrażeń zapomocą przemiany dźwięków i form trudniejszych na łatwiejsze, 3) w apercepcyi, wyrażającej zjawiska życia duchowego w postaci zmysłowej i 5) w abstrakcyi bezwiednej, czyli dążności do wytworzenia różnic w języku, co Baudouin porównywa z ciążeniem powszechnem planet. Jak na niebie widzimy systemy zależnych od siebie ciał, tak w języku mamy gromady wyrazów i innych kategoryj; jeżeli ciało niebieskie, wyszedłszy ze swego systemu, błąka się w przestrzeni, póki nie ulegnie wpływowi innych, podobnież wyrazy i formy zapomniane stoją na uboczu, póki do innych kategoryj wyrazowych nie wejdą. W języku przejawiają się dwa żywioły: *fizyczny* i *psychologiczny*, to też lingwistyka opiera się z jednej strony na fizyologii i akustyce, z drugiej zaś na psychologii, będącej wynikiem nauk biologicznych (zoologii, botaniki itp.) Odróżnić przytem należy językoznawstwo *czyste* i *stosowane*. Pierwsze zajmuje się rozbiorem wszechstronnym języków już rozwiniętych dziejowo, badaniem ich początku i budowy formalnej, drugie zaś rozważa je ze względu na całość i stosunek wzajemny części składowych. Języki kolebkowe (np. sanskryt) nie powinny stanowić punktu wyjścia dla badań powstawania form; raczej pono odkrycia zjawisk języków żyjących mogą być miarą co do objaśnienia postaci sanskrytu.

Przedniejsze w pracach naukowych miejsce zajmuje rozprawa rosyjska B. o języku staropolskim (1870 r.) Niedokładność źródeł stanowiła tu niepokonaną prawie trudność. Ponieważ dyplomaty, statuty i kroniki łacińsko-polskie do XIV st. zaledwie w imionach własnych osób i miejscowości, tudzież niektórych określeń prawnych nastręczają słaby do zużytkowania materyał, przeto autor oprócz pewnych wskazówek głosowych i formalnych, nic dla składni zdobyć nie mógł.

Z wielkim za to trudem, za pomocą rozmaitych porównań i sprawdzań, ułożył słowniczek z 500 wyrazów, podzielony na dwie epoki: przeddziejową i od czasu zaprowadzenia chrześciaństwa. B. wyróżnia samogłoski długie od ścieśnionych, oraz ścieśnione, które z długich powstały. Ze spółgłosek jotowych mieliśmy dawniej miękkie *rj, dj, tj* (jak w ruszczyźnie). W XIV w. dźwięki te już przeszły na *rz, dz, dź, dź, ź*. W stopniowem przetwarzaniu się *rj* na *rz*, dźwięki r+z nie stanowiły w wymowie ścisłej jednolitości; albowiem w epoce przejściowej wymawiały się na sposób wyrazów; gor-żki, marzanna, nim z upływem czasu zlały się w dźwięki jednolite z głuchym przydźwiękiem *r* (narzecze opolskie na Górnym Szląsku); później zaś na ż i dzisiaj już nawet w pisowni widzimy początek dążności do ujednostajnienia dźwięków (żebro zamiast rjebro). Oprócz nosowych *ą* czystego i *ę*, autor wymienia *ą* długie i ścieśnione, tudzież *o, u* oraz *i* nosowe, które ogonkiem u spodu oznacza.

Nieocenioną *) nauce wyświadczył usługę B. wydaniem *Katechizmu rezjańskiego*, stanowiącego dodatek do znakomitej rozprawy p. t. *Opyt fonetiki rezjańskich gowor*. Mało znane narzecze rezjańskie jest odmianą słowieńskiego czyli korutańskiego (w Styryi, Krainie, Karyntyi, Istryi i Fryulu), która dzieli się na podrzecza: górno- średnio- dolno-kraińskie, styrskie, węgiersko-słowieńskie, furlańskie i węgiersko-chorwackie. Zabytek ów powstał z dwóch rękopisów, pochodzących z XVIII w. Pisownia, oprócz domieszek niemieckich i słowieńskich, jest prawie włoską. Godnemi uwagi są tu formy zamarłe, dzisiejszym słowieńcom niezrozumiałe.

Rozwój narzecza rezjańskiego pod wpływem włoskim i furlańskim przekonywa, że gwara ludowa, stając się przypadkowo dla potrzeb religijnych piśmienną, już w zarodkach swoich okazuje zlanie się różnorodnych żywiołów. Słowniczek załączony do *Katechizmu* chwalebne o pracowitości autora stanowi świadectwo.

W broszurze p. t. *Niekotoryje otdiely srawnitelnoj grammatiki sławianskich jazykow* (1881) widzimy zarysy nowej grafiki polskiej, która co do liter, wyrażających dźwięki *cz, sz, ż, rz*, zadawala się znakami pojedynczymi, z odwróconym na sposób czeski cyrkumfleksem; *dz, dź* i *dż* zastępuje niemieckiem z (cet) z odpowiednimi znakami miękkości; *w* twarde i miękkie wyraża za pomocą *v* jednokorytkowego, a *ch* postacią *x*, które jak wiadomo w hiszpańskim wyraża nasze *ch*. Co do samogłosek nosowych, to *ą* oznaczone przez *o* z ogonkiem u spodu. Na str. 48 autor utrzymuje, że pisownia staropolska *iei* nie wyraża *jej* lecz *jeji*. Tu mając na uwadze powinowactwo etymologiczne dźwięków, wskazuje nową w tym celu terminologię, którą p. Kruszewski, uczeń autora i docent uniwersytetu kazańskiego, w osobnych rozwinął rozprawach.

Dla życzących sobie bliższą zawrzeć znajomość z piśmiennictwem naukowem na polu lingwistyki porównawczej, zalecamy jeszcze broszurę Baudouina: *Podrobnaja programma lekcij w 1876—77 uczebnom godu* (Kazań i Warszawa 1878).

W rozprawie czeskiej: *Několik poznamenání o polském pravopisu* (Praga 1868) autor domaga się fizyologicznego badania dźwięków dla ustanowienia zasad pisowni, zgodnych z przyrodą języków słowiańskich. Dziś, dzięki rozwojowi fizyologii pod przewodem Purkyniego, Czermaka, Tyndala i innych, widzimy już w pracach spółziomków i spółbratymców pewne próbki, które, zdaje się, uczyniwszy przełom w uporze wielu, nowe dla lingwistyki wyprostują ścieżki.

Liczne prace Baudouina w językach: polskim, rosyjskim, czeskim, słowieńskim, niemieckim, francuskim i włoskim, niedość jeszcze dla szerszego koła czytelników odpowiednie, nie mogą tu być przedmiotem naszego zastanowienia, tem bardziej, że celem tej wzmianki jest tylko przypomnieniem zasług szan. badacza w chwili jego przejścia na nową katedrę. Baudouin należy do wyjątkowych u nas uczonych, którzy, nie zadawalając się tem, w co ich szkoła opatrzyła, zbrojni chwalebną i rzadką u nas wytrwałością, pracują niezmordowanie i wzbogacają wiedzę hojnie.

*Justyn Feliks Gajsler.*

---

*) Patrz broszurę B. p. t. *Niekotoryja obszczija zamieczanija o jazykowiedienii i jazyk'e* (Petersburg, 1870).

*) Nieocenioną i dlatego, że Baudouin zbierał materyały językowe na miejscu śród warunków, które niejednego odstraszyłyby stanowczo. Ludność prosta w Rezyi, widząc obcego człowieka, który zapisuje wszystkie jej wyrazy a nawet wymysły i prosi o powtórzenie najdosadniejszych brutalstw (których nie dosłyszał) uciekała od niego, wyrzucała z domu, zabraniała dzieciom zbliżać się do „dyabła,“ tak że wyklęty badacz długo był skazany na towarzystwo jednego żebraka. (*Przyp. Red*)

## TEATR.

*Gęsi i gąski*, komedya w pięciu aktach M. Bałuckiego.

Jeżeli, podług platońskiego określenia, człowiek zasługuje na nazwę ptaka bez piór, to przyznać należy, że gęsi w tym zoologicznym podziale są gatunkiem bardzo pospolitym. Nic też dziwnego, że Bałucki, obrawszy go dla swej obserwacyi, nie zawsze umiał uniknąć szarości, która bywa przysłowiową gęsią barwą. Niezależnie od galanteryi wobec płci pięknej, trudno nie przyznać, że małoduszność, zamiłowanie w czczym blichtrze, w nędznych drobiazgach stanowi cechę wybitną większości owych istot, na cześć których nowożytna poezya spaliła tyle pochwalnych fajerwerków. Autor zaprezentował nam w komedyi aż trójkę tych okazów, których podobizny w życiu spotykamy na każdym kroku. Bogata ciocia, grymaśnica, z nieznośnemi pretensyami do dobrego tonu, kwaśna, despotyczna zjeżdża do wiejskiego dzierżawcy, aby prowadzić jakieś małżeńskie konszachty i w krótkim czasie dla wszystkich staje się plagą. Postać to nie nowa, ale B. musiał ją odświeżyć niejednym szczerym i zgrabnie podpatrzonym szczegółem. Nie można tego powiedzieć o innej gęsi miejskiej, pani doktorowej, płochej wietrznicy, którą już poznaliśmy w *Domu otwartym*, ani o Joasi, wiejskim podlotku, podobnym do wielu naiwnych dziewczątek, których daleko więcej dziś na scenie, aniżeli na świecie. Robota utworu nie jest prawie nigdy niebotyczna. P. Bałucki nie rozsnuwa z zamiłowaniem psychologa splątanego pasma charakterów, ale chwyta doraźnie i zamaszyście ich kontury i stara się raczej o ruch zbiorowy, zewnętrzny, o wydobycie morału i satyry, niż namalowanie szerokiego obrazu. Przy takiej obserwacyi oraz przy szybkości tworzenia, główną siłą ożywczą jego utworów jest albo głębsze odczucie satyry społecznej (*Sąsiedzi*), albo żwawy dowcip i ruch sytuacyjny (*Dom otwarty*), albo znowu pogodny, jowialny humor, połączony z barwnością rodzajowego kolorytu (*Grube ryby*). Gdy nie dopiszą te przymioty, wtedy komedya p. B. wpada w szarą banalność, jak np. *Pozłacana młodzież* lub *Po śmierci cioci*, albo też jak *Gęsi i gąski*, częściowo płowe, bezbarwne i pełne chodzących komunałów. Ten stary nauczyciel ze swem szablonowem a dobrodusznem safandulstwem, ten ckliwy kochanek, ta panna sztywna, jak wykrochmalona, prawiąca suche morały—wszystko to są figurki, które mogą śmiało spoczywać w składzie zużytych teatralnych rupieci. Naprawdę wesoło się robi w sztuce, gdy wystąpi Anatol Durnicki, nieporównanie typowy okaz austryackiego szykowca, który we własnem mniemaniu jest „colossal.“ Chociaż fanfaronowie w życiu zwykle są nieznośni, a pan Durnicki naprawdę zasługuje nosić owe miano, jednakże głupota jego jest szczerze zabawną a forsowny romansik z doktorową ożywia nikłą intrygę całej sztuki, która nagle pozbywa się morałów, banalności, nabiera sytuacyjnego ruchu, śmieszy, bawi a kończy się — „wirklich colossal!“ Doktór, pocieszający się po ucieczce żony z kochankiem, że „ona powróci, bo już mu tak raz zrobiła“—jest w kilku rysach jedną z najkomiczniejszych postaci, jakie kiedykolwiek ukazały się w blasku kinkietów.

Ostatnie akty sceny okupują pospolitość satyry i jałowość morałów, jakiem autor przeciążył obficie początek sztuki. Słuchacz wychodzi z teatru ostatecznie zadowolony, jak człowiek, który, nudząc się długo, w niezbyt przyjemnem towarzystwie napotkał wesołego kamrata i sam się przy nim rozruszał.

O wykonaniu tej sztuki w teatrzyku „Nowy-Świat“ można z przyjemnością powiedzieć, że po większej części było ono nieprowincyonalne. Wprawdzie pamięć niektórych artystów utykała, ale za to panie Siedlecka i Bauman oraz p. Janowski pędzili żwawym kłusem po humorystycznym gościńcu i to z zachowaniem prawideł dobrej szkoły a p. Danielewski, chociaż chwilami jeszcze niezbyt dobrze trzymał się w roli, jednak reprezentując wiedeńskiego dandysa, paradował z szykiem.

*S. K.*

## LIBERUM VETO.

Pytanie reportera i odpowiedź naczelnika policyi. — Czy złodziejstwo jest zyskownem. — Testament rzezimieszka. — Różnica losu Dutch Henryka u nas i w Ameryce. — Wieloimienność jednej rzeczy. — Kradzież pod pseudonymami. — Nowy rodzaj przemysłu. — Operacye heraldyków.—Możliwy list.— Pastuch gęsi, przemytnik i łgarz. — Taksa orderów.— Tanie szlachectwo. — Dwaj mężowie. — Zyskowność blagi.

„Czy złodziejstwo jest zyskownem?“

Takie pytanie otrzymał od jednego z reporterów amerykańskich naczelnik tajnej policyi w New-Yorku—Byrnes.

„Niezbyt — odpowiedział. A nawet, o ile uczy moje doświadczenie, sądzę, że lepiej się opłaca być człowiekiem uczciwym.“

„Czemuż więc — pytał dalej reporter — jest tylu złodziejów, rabusiów i fałszerzów?“

„Wielu dlatego, że to tylko umieją, inni dlatego, że im się nadarza sposobność, inni znowu dlatego, że ich popchnęło złe towarzystwo a zwłaszcza płoche i lubiące się stroić kobiety... Czy który z nich jest geniuszem, czy drobnem światełkiem w sferze złodziejstwa — do wielkiego majątku nie dochodzi.“

Jeżeli Byrnes prawdę mówi, to w Ameryce dostrzegamy nowy rys odwrotności stosunków. Nietylko tam ludzie nogi na stół kładą, gdy u nas pod stół chowają, nietylko budują większe okręty niż kościoły, ale jeszcze tracą na złodziejstwach. „U nas — jak śpiewa poeta— inaczej!...“

Przedewszystkiem nie jest to wcale rzemiosło niebezpieczne. Oto np. czytałem bardzo niedawno w *Kuryerze Warszawskim*:

„Przed kilkoma miesiącami zmarł w mieście naszem znany i kilkakrotnie karany rzezimieszek, którego nazwiska ze względu na zacną rodzinę nie wymieniamy. W papierach po zmarłym znaleziono testament, a w nim spis wszystkich większych kradzieży, jakie w ciągu całego żywota popełnił. Było tego ogółem, o ile sam mógł spamiętać, 117 większych i drobniejszych, a z tych 24 z włamaniem. Jako spadek po sobie rzezimieszek przeznaczył dla swego brata i siostry kosztowności ukryte u pewnego passera (?), a wartujące około 1,000 rs. Spadkobiercy zrzekli się naturalnie tej haniebnej sukcesyi i poszkodowanym klejnoty zwrócili.“

Uważajcie państwo, jakim ten obrazek tchnie patryarchalizmem! Rzezimieszek popełnia 117 kradzieży, 24 z włamaniem, w których mu nikt nie przeszkadza. Bohaterskie swoje czyny spisuje w osobnej kronice i łupy testamentem przekazuje rodzinie. Gdyby nie skrupuł spadkobierców, cały ten akt chwalebnego zgonu nie spotkałby się z żadnym protestem. „Większa część zwolenników tego zawodu (w Ameryce) — powiada Byrnes — jest biedniejsza niż kura Hioba. Tak np. niejaki Dutch Henryk, który ukradł około 3 milionów dolarów, jest najmizerniejszym nędzarzem.“ No, jeżeli w naszej szerszej ojczyźnie znajdzie się Dutch Henryk, z pewnością nietylko nie cierpi biedy, ale nawet staje się przedmiotem zbiorowych owacyj na stacyach kolei w drodze do miejsca krótkiej pokuty. Nigdy nie zapomnę opisów w gazetach rosyjskich pełnego wszelakiej rozkoszy życia Owsiannikowa. Boże, jak ten Dutch Henryk pływa w szczęściu! Może on popełnić jeszcze wiele zbrodni, ale byłby ostatnim z ludzi, gdyby został pesymistą.

Jeżeli między moimi czytelnikami znalazł się taki, który do tego punktu nie uznał powyższej różnicy między zyskownością zawodu złodziejskiego u nas i w Ameryce, uczynił to zapewne dlatego, że przedtem nie porozumieliśmy się co do słownictwa. Rzezimieszki wprawdzie nie zbogacili naszego języka, ale jak robaki w orzechach powyjadali ziarna w rozmaitych wyrazach i ukryli swoje gąsiennice w zdrowych na pozór łupinach. Tak np. kto dziś mówi, już nie że *łapówka* jest *kradzieżą*, ale nawet jej rodzoną siostrą? Gdy się pojawi cholera, żydzi powiadają: *ona*, *słabość*, *paskudna choroba*, *nieszczęście*, ale rzadko wymawiają wyraz: *cholera*. Podobny wstręt budzi kradzież. Ledwie tam kiedyś przyciśnięty w sądzie rzezimieszek do niej się przyzna, zwykle nazywa się ona: kosztami przeprowadzenia interesu, prezentem, wysoką dywidendą, lichwą, nadużyciem, malwersacyą, a często nawet — lekkomyślnością. Dzięki tej terminologii, gdyby dokonać spisu złodziejów, okazałoby się, że niema u nas ani jednego. Nie czuć ich nawet w skargach opinii publicznej, gdyż pisma prześladują winowajców pod pseudonymami.

*Kuryer Codzienny*, narzekając na świeży rodzaj *przemysłu*, jaki wytworzyli nowsi nasi heraldycy, nobilitujący według dość umiarkowanej taksy wszelakiego gatunku amatorów szlachectwa, opowiada, że jeden z nich zażądał 50 rs., i dodaje: „Wprawdzie akcyi cywilnej w razie odmowy nie wytoczy, ale *forma żądania* jest taką, że pono zgodzono się *dać odczepnego*.“ Odgadnąć łatwo, jaką była owa „forma żądania.“ Zapewne heraldyk pogroził przyszłemu szlachcicowi zemstą i... dostanie „odczepne.“ Dla powodzenia podobnej operacyi nie dość, żeby jedna strona była niegodziwą, potrzeba jeszcze, żeby druga była nierozsądną. Przypuszczam, że jakiś dojący ludzką głupotę heraldyk napada mnie następującym listem: „W przyszłym zeszycie mego wydawnictwa chciałbym pomieścić rodowód pański. Mam nadzieję, że sz. pan, oceniając trudy moich poszukiwań archiwalnych, wynagrodzi je skromną kwotą rs. 50. Nie potrzebuję dodawać, iż w takim razie zamilczę o pańskim pradziadku, który gęsi pasał nad Biebrzą i o dziadku, który trudnił się kontrabandą w Grajewie.“ Odebrawszy tego rodzaju list naprzód umieściłbym go w najpoczytniejszej gazecie a następnie był przekonanym, że jego autor nie jest godzien zbierać straconych piór za gęsiami a jest podlejszym od przemytnika. Bądźmy wszakże dla niego wyrozumiali. Nie powstał on z samorództwa, matką jego próżność — nasza królowa. Dopóki dorobkiewicze, zbogaceni chłopi, mieszczanie i wychrzczeni żydzi będą pragnęli ozdobić się herbami, dopóty z tym towarem uwijać się będą przekupnie i falszerze.

Z drugiej strony przyznać trzeba, że 50 rs. za szlachectwo polskie, kiedyś tak zaszczytne i trudne do nabycia, to nie drogo. Niedawno słynnemu przywódcy ultramontanów niemieckich dr. Windhorstowi cesarz odmówił potwierdzenie orderu „grobu św.“ (Jezu — na twoim grobie rosną ordery!), gdyż ów znaczek należy do tych, które można kupić. Z tego powodu gazety niemieckie ogłaszają cennik orderów sprzedawanych. I tak:

Krzyż cywilny rzeczypospolitej San Marino kosztuje . . . . . 2,500 fr.

| | |
|---|---|
| Order hiszpański Izabelli . . | 4,500 fr. |
| Takiż order Karola III . . . | 4,500 „ |
| Krzyż komandorski z gwiazdą orderu Chrystusa (Portugalia) | 4.500 „ |
| Perski order lwa i słońca . . | 4 000 „ |
| III klasy oficerski | 4.000 „ |
| IV klasy rycerski | 4,000 „ |
| Turecki order Medjidże oficerski | 4,500 „ |
| rycerski | 4,500 „ |
| Order komandorski Venezueli . | 4.000 „ |
| Sasko-koburg-gotajski . . . | 4,500 „ |

Jak widzimy z tej taksy szlachectwo polskie za 50 rs. (tj. podług najlichszego kursu 200 fr.) jest bardzo tanie, zwłaszcza w wypadkach, gdy pradziad „urodzonego“ gęsi pasał a dziad towary przemycał. Wszakże chyba drożej wypada reprezentacya w międzynarodowem towarzystwie literackiem!

Nie widziałem nigdy 20 literatów razem. A jednakże widok to musi być wspaniały a zbiorowa głowa mądrą! Jeżeli zaś wybiorę sobie jakiś kongres, to koniecznie taki, na którym będą dwaj nasi mężowie: jeden, który najgodniej przewodniczy, a drugi, który, najwięcej toastów wznosi i najszczegółowiej o sobie do różnych gazet telegrafuje. Pierwszy wydaje mi się niezbędnym dla porządku, ostatni dla rozgłosu; tamten wreszcie przypomni mi zawsze *swoją* Warszawę, ten — *swój* kraj. Ale jeżeli kiedyś się znajdę na takim zjeździe, „przedłożę“ mu — jak ów amerykański reporter — pytanie: czy blaga jest u nas zawodem zyskownym? I niewątpliwie dostojnik zgromadzenia odpowie mi twierdząco. Bo jeżeli stu kilkudziesięciu ludzi, mniej lub więcej ukształconych, ale przecie inteligentnych pozwala się za nos wodzić zwyczajnemu reklamiście, to blaga jest u nas przemysłem korzystnym.

Prawda panie?... Po co nazwiska! Grzyb jest grzybem — rydz czy muchar.

*Poseł Prawdy.*

---

# W PERSPEKTYWIE.

Melpomena w chałacie.—Cmokanie z radości w *Gaz. Lubelskiej* —Kątnicy słowiańskiej chaty.—Prawa i obowiązki gości. — Samopomoc w Suwałkach. — Jakimi powinni być rewizorowie. — Zakończenie.

Prowincyonalna Melpomena ustroiła się w chałat i zapuściła pejsy... Znaczy to, iż na deskach teatralnych w Lublinie przez kilka wieczorów brzmiały dźwięki żydowskiego żargonu i jaśniały talenty żydowskiej trupy wędrownej.

Naśladując aktorów i słuchaczów, cmoknął z zadowolenia J. W., teatralny sprawozdawca miejscowej gazety.

„Jakkolwiek teatr taki w żargonie brzydkim i niemiłym — sympatycznym dla nas być nie może, zdaje nam się jednak, że jako zrozumiały dla mas, traktując sztukę poważnie i moralnie, wytykając błędy i podnosząc przymioty narodowe, może dodatnio wpłynąć na te grubo zacofane masy, a już dosyć dokazał, że je tak mocno rozbudził i zaciekawił i w niebywałej dotąd liczbie zgromadzić potrafił.“

Tolerancya ma pewne granice, po za któremi staje się niedołęstwem. *Gazecie Lubelskiej* przekroczenie owej granicy ułatwiła zbyteczna wrażliwość jej recenzenta. Dowiódł on, iż do spisu naszych cnót narodowych najpóźniej będzie mogła wejść konsekwencya. Czyż warto było przez kilkanaście lat ubolewać nad uporem żydowskiego separatyzmu po to tylko, aby usprawiedliwić później najwybitniejsze jego objawy? Porozumiejmy się.

My polacy mamy najzupełniejsze prawo chcieć, aby ludność naszej ziemi jeden duch ożywiał. Z tego też tytułu nikogo razić nie będzie, jeżeli niemiłe dźwięki żargonu, przeszedłszy nawet przez wszelkie tuby i rury oportunizmu — milemi się dla nas nie staną. Przestańmy już raz kokietować ciemny tłum żydowski i powiedzmy mu otwarcie, że wzrost jego potęgi, jako plemienia—szkodzi naszym interesom etnologicznym. Kaprys dziejowy uczynił żydów „kątnikami“ w naszej słowiańskiej chacie—powinni więc do obyczajów gospodarzy się zastosować. Przemówienie takie stosunków nie zaostrzy, ale sytuacyę wyjaśni. Nie zaostrzy stosunków, gdyż oprócz *Gazety Lubelskiej*, nikomu nie przyszło na myśl promować ciemną rzeszę żydowską do godności narodu. Moski i Chaimy pretensyj podobnych nie mają; wykształciwszy się nieco, znajdą oni w naszej literaturze tyle przynajmniej duchowego pokarmu, że straszna historya talmudyczna o „studni i łasicy“ okażą się dla nich zbytecznemi.

Wpływ Melpomeny na poprawę obyczajów jest dzisiaj grą hazardowną, w której cnota częściej może *pasować* musi, niż *wistować*. Wobec obrzydliwie spekulanckich dążności przedsiębiorców teatralnych w przybytku greckiej muzy roskoszy doświadczają wszystkie zmysły, ale najrzadziej *moralny*. Zresztą na co się przyda biednemu żydowi najmoralniejsza tragedya, kiedy po powrocie do domu będzie on musiał uciekać się do zwykłej komedyi z „głupim Wojtkiem“ — aby nie umrzeć z głodu? Moralność jest dzisiaj towarem nie dla wszystkich dostępnym. To też i teatr żydowski w Lublinie cudu nie zrobi. Panu J. W. zdaje się, iż „wiele on już dokazał, gdy je (masy) tak mocno rozbudził i zaciekawił i w niebywałej dotąd liczbie zgromadzić potrafił.“ Ależ szanowny sprawozdawco! To my tylko zawsze jesteśmy śpiący i rozmarzeni—nawet wtedy, gdy piszemy oceny teatralne — żydzi, kochany panie, zawsze są „rozbudzeni“ i zawsze „zaciekawieni.“ Nie potrzeba na to wielkich dramatów.

Jeszcze jedno. Nie cieszy mię nawet rozkwit żargonowej literatury dramatycznej. Na arcydzieła jej, jako polak, patrzę zniechęcią; jako literat, z żalem: wyglądają one jak ładne gliniane figurki, które za chwilę nieestetyczny mularz-czas zmiesza z wodą i piaskiem.

Nie wiem, jaki los spotka próbkę naszej samopomocy społecznej w Suwałkach — mówię tu o mającym tam powstać oryginalnym komitecie sanitarnym. „Aby zapobiedz licznym nadużyciom i fałszerstwom tutejszych przekupniów, których (zapewne fałszerstw i nadużyć) ograniczone działanie policyi wytępić do szczętu nie może, zawiązał się tam komitet obywatelski, mający czuwać nad całą sferą producentów i handlarzy. Do komitetu tego wstąpiło na ochotnika kilkunastu urzędników suwalskich. Zadaniem jego będzie: kontrolować miary i wagi oraz dobroć produktów spożywczych, a mianowicie: chleba, owoców, ryb, mleka i t. p. a w razie dostrzeżenia nadużycia oddawać winnych w ręce policyi. Każdego dnia w godzinach rannych, jeden z członków operować będzie w jatkach a drugi na targu.“

Tak pisze *Kuryer Codzienny*.

Jeżeli działalność komitetu nie stanie na zawadzie ujednostajnieniu programu w Suwałkach, to przewidywać można będzie wcale dobre jej rezultaty. Co do mnie, to pozwoliłbym sobie zrobić parę uwag nad tym projektem. Najprzód zapytam projektodawców: co będzie dostateczną rękojmią ich mięso- i jajo-znawstwa? Jakkolwiek nie chciałbym ubliżać gastronomiczno-kucharskim i chemiczno-lekarskim zdolnościom żadnego ze sławetnych obywateli, sądzę jednak, iż nie każdy z nich będzie dostateczną powagą zarówno dla pp. przekupniów, jako też i dla policyi. Niechże o tem pomyślą dobrze. Powtóre, doradzałbym zawsze, aby na „rewizorów“ wybierano ludzi całkiem niezależnych, i o ile można zasobnych. W przeciwnym razie, gdy pan rewizor zajadać będzie zdrowego lina, bliźniemu jego dostanie się nieraz szczupak zanadto „śnięty.“ Cokolwiekbądź z przykładu Suwałk skorzystać winny i inne nasze miasta.

Na zakończenie mógłbym wam opowiedzieć czytelnicy o wielkiej radości Białegostoku, którego złodzieje przestali napastować, „schroniwszy“ się przed zimą do więzienia, i o wielkiej boleści Kutna, które zapewne z powodów tejże zimy złodzieje napastować zaczęli. Pominę jednak te smutno-wesołe objawy i zwrócę uwagę waszą na drukujące się obecnie w gazetach sprawozdania z dwu wystaw rolniczych — w Mińsku i Kijowie.

*Maryan Bohusz.*

---

# „CZY TEŻ TO WARTO?“

Przed nami nr. 39 *Wszechświatu*. W artykule wstępnym: „Trzeci tom Pamiętnika Fizyograficznego“ rozmyśla redakcya nad losem tego wydawnictwa, przedstawiając swoim czytelnikom wcale niewesołe cyfry:

| | |
|---|---|
| Nakład t. I *Pam. Fiz.* kosztował | rs. 2,500 |
| rozprzedaż przyniosła . . | „ 1.600 |
| niedobór | rs. 900 |

Rozdzielając ten niedobór na 320 nabywców I-go tomu, wypada, że do każdego sprzedanego egzemplarza wydawcy dołożyli rs. 2 kop. 83.

| | |
|---|---|
| Nakład tomu II kosztował . | rs. 3,300 |
| rozprzedaż przyniosła . . | „ 1,200 |
| niedobór | rs. 2,100 |

Każdy z 240 nabywców II-go tomu dołożył rs. 8 kop. 75.

| | |
|---|---|
| Nakład tomu III kosztuje (co najmniej) . . . . . . | rs. 2,500 |
| dotychczasowa rozprzedaż przyniosła . . . . . | „ 500 |
| spodziewany niedobór . | rs. 2,000 |

Czyli — powiada *Wszechświat* — stosując nasze przewidywania do obecnej liczby 100 przedpłacicieli, jesteśmy przygotowani na dodanie rs. 20 do każdego sprzedanego egzemplarza.

„Zamiast więc błogich nadziei na przyszłość, musimy się zapytać: jak długo jeszcze wytrzymać będziemy mogli ten postęp tak szybko malejący, a co gorsza — zamiast uznania dla ogółu, że podtrzymał nasze usiłowania, kto wie, czy nie wypadnie nam zapytać: „czy też to warto?“

Takie pytanie, postawione przez redakcyę poważnego naukowego wydawnictwa, bogatego co do treści, ozdobnego w swej formie zewnętrznej, szczególnie w licznych ilustracyach — wydawnictwa, które uzyskało na wystawie przyrodniczo-lekarskiej w Krakowie podczas III-go Zjazdu przyrodników i lekarzy polskich najwyższą na owej wystawie nagrodę: dyplom uznania zasługi, — takie pytanie czy nie powinno zaboleć każdego polaka? Takie pytanie, rzucone w oczy społeczeństwu, które na zbytki i uciechy chętnie wydaje tysiące, powinno go wstydem palić, wstydem przed samem sobą, wstydem przed obcymi, przed którymi nie uczuwa potrzeby pochwalić się chociażby jednym poważnym rocznikiem z zakresu wiedzy, rozporządzającej za granicą setkami organów! A jednakże narzekamy, że nasi uczeni nie piszą po polsku. Gdzież więc będą swe prace umieszczali? Czy ogół zresztą interesuje się niemi? Zdaje się, iż bardzo niewielu wie o tem, że wychodzą u nas także *Wiadomości z nauk przyrodniczych*, że wyszły 2 zeszyty i że figurują tam takie nazwiska, jak Cienkowskiego, Strasburgera, Taczanowskiego i innych. Czy doczekamy

się kiedy 3-go zeszytu? Czy będziemy oglądali IV tom *Pamiętnika Fizyograficznego*?... Na to odpowie nasza inteligencya, a głównie ta jej część, którą stanowią: przyrodnicy, górnicy, inżenierowie, technologowie, agronomowie, doktorowie, aptekarze, jednem słowem, ci wszyscy, którym nauki przyrodnicze nie są obce, a którym nie obojętną jest kwestya posiadania swego własnego skarbczyka do przechowywania w ojczystym języku wszystkich tych cegiełek, jakie dokładamy do wspaniałego gmachu wiedzy przyrodniczej.

III tom *Pamiętnika Fizyograficznego* — liczy *stu* przedpłacicieli!... Mamy z czego być dumni!

Nie lepiej rzecz ma się i z popularnemi wydawnictwami. *Zdrowie* upadło, *Przyroda i Przemysł* także. *Wszechświat* dzięki tylko energii redakcyi i szlachetnej pomocy prywatnej dźwiga się jeszcze, ale czy długo utrzyma się?... Piękny obraz! Gdy się weń bliżej wpatrujemy i nam przychodzi ochota zapytać: „czy też to warto?“ Doprawdy, aż dziwną wydaje się w nas taka obojętność względem nauk przyrodniczych, nauk, które—nikt nie zaprzeczy — obsypały już nas i ciągle jeszcze obsypują największemi dobrodziejstwami. Naród, powiadają, poznajemy w jego literaturze. Jeśli jaka książka niema pokupu, lub jakie pismo upada, znaczy to, że dla swego społeczeństwa są niestosowne, że ono ich nie potrzebuje (jeszcze?) Czy tak jest i z naszą literaturą przyrodniczą?... Odpowiedź pozostawiamy naszemu społeczeństwu.

*M. K.*

---

Zamieszczając artykulik powyższy, dodać winniśmy, że zarówno ten głos, jak setki podobnych, chociażby doraźnie odniosły skutek, trwałego popytu na poważne wydawnictwa przyrodnicze u nas nie wytworzą i że z materyalną pomocą *Pamiętnikowi Fizyograficznemu* winna przyjść Kasa Mianowskiego — skoro o mecenasach dla tego rodzaju prac marzyć nie można

*Red.*

---

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

*Warszawa, d. 26 września.*

Cisza po burzy. — Zmiany w Bulgaryi i Serbii. — Wiadomości z Tonkinu.

Po dziennikarsko-dyplomatycznej burzy nastała teraz cisza, odczasu do czasu przerywana tylko mniej lub więcej prawdopodobnemi „rewelacyami,“ dotyczącemi różnych tajemnic gabinetowych. W niewinnej tej zabawie przyjęły udział nawet pisma brukowe i z naiwną powagą polemizują z półurzędowymi organami.

Przesilenie w Bulgaryi zakończyło się pomyślnie dla księcia i dla narodu. Nowy gabinet, złożony z żywiołów liberalnych pod przewodnictwem Cankowa, okazuje się przychylnym dla Rosyi i nawet zasiada w nim generał rosyjski jako minister wojny; tymczasem gazety austryackie i niemieckie witają go również z zadowoleniem, jako objaw zwycięstwa swej partyi. Adres zgromadzenia, dobitnie zaznaczający samodzielność Bulgaryi, a nadewszystko wskrzeszenie konstytucyi tyrnowskiej, bardziej jeszcze zagmatwał sprawę i tylko dalszy przebieg wypadków oświecić może te sprzeczności. Dzisiaj zaś nawet sprawozdawca *Kuryera Warszawskiego* znany ze swych najświeższych „relacyj,“ z pokorą ducha wyznaje, że w całej tej sprawie nic a nic nie rozumie.

Daleko jaśniej przedstawia się stan rzeczy w Serbii. Tam partya postępowa, stojąca u steru rządu i przychylna Austryi poniosła stanowczą klęskę. W przyszłej skupczynie radykalni i liberalni będą mieli przewagę. Optymiści pocieszają się tem, że rząd ma prawo mianować 45 członków i że wybory dodatkowe wypaść mogą dlań korzystnie. Ale nawet i w takim razie większość byłaby nader słabą a przy przewadze jednego lub nawet kilku głosów żadne ministeryum utrzymać się i rządzić nie może. Pozostaje więc królowi Milanowi: albo powołać gabinet złożony z radykałów i liberalnych, na co nie pozwoli Austrya, albo rozwiązać skupczynę i nakazać nowe wybory. Ostatni środek byłby najskuteczniejszym, bo administracya serbska niejednokrotnie pokazała, że umie urządzać także sztuki, gdyby zbyt energiczne pogwałcenie wolności obywatelskiej nie groziło rewolucyą. Życzliwi protektorowie podają jeszcze trzeci środek: zawieszenie do czasu konstytucyi i zaprowadzenie stanu oblężenia w całym kraju. Jednakże przykład Bulgaryi świadczy, że i ten ryzykowny krok nie zawsze prowadzi do celu. Słowem i tak źle i tak nie dobrze, jedynem wyjściem z tego przykrego położenia byłoby obmyślenie jakiegoś kompromisu, mogącego, jeżeli nie zażegnać, to przynajmniej odroczyć niebezpieczeństwo.

Rozruchy antysemickie w Węgrzech, zaburzenia w Kroacyi i na Pograniczu ustały prawie zupełnie. Teraz mężowie stanu w Peszcie łamią sobie głowy, w jaki sposób wyjść z honorem, nie utraciwszy powagi i nie wywołując nowych zajść. O ile bunty miały polityczny charakter, usunięcie ich na przyszłość nie będzie trudnem, ale przyczyn ekonomicznych na razie półsrodkami usunąć niepodobna.

Układy Francyi z Chinami pod opieką Anglii trwają wciąż, z Tonkinu natomiast dochodzą najsprzeczniejsze wieści. Co się dzieje w tym kraju. nie wiedzą nietylko sprawozdawcy dziennikarscy, ale, zdaje się, i sam rząd francuski. Pewnem jest tylko, że siły wojenne są zbyt słabe i potrzeba posiłków naglącą. Tymczasem radykaliści coraz namiętniej występują przeciw kolonialnej polityce rządu i nalegają o zwołanie izb.

---

## CUDZE GŁOSY.

**Głos słowieński.** Mało znamy słowian w ogóle — z grona ich najmniej zaś są nam znani bracia nasi południowi. Również i oni wiedzą o nas niewiele. Ani na literackiem, ani na naukowem polu nie dostrzegamy najmniejszego zbliżenia. najskromniejszej chęci zapoznania się, a na politycznem łączą się polacy (w Austryi) ze słowianami niemal tylko z konieczności. Przeciw temu nienaturalnemu rozłamowi występują dotychczas nieliczne jednostki, głosy ich dają się przecież słyszeć coraz częściej i można się spodziewać, że odniosą pożądany skutek. W ostatnich czasach uderzył w tę miłą strunę *Slovenski Narod*. Organ to postępowców słowieńskich a wychodzi w Lublanie.

„Wobec naporu żywiołu niemieckiego — powiada w wspomnianem piśmie prof. Glaser — wobec bezwzględnie zaczepnego, wyłącznie narodowo-niemieckiego postępowania naszych nieubłaganych germanów potrzebna jest nam słowianom większa jedność i solidarność, niż nią dotychczas pochlubić się możemy.

Między polakami a czechami zawiązane zostały ostatnimi laty wielorakie stosunki a wzajemność ta jest dotąd starannie pielęgnowaną. Jednakże my, słowieńcy, stoimy dotychczas na uboczu, o narodowem a zwłaszcza literackiem życiu naszem zgoła nic nie wiedzą. Rosyanie imponują nam swoją potęgą polityczną i swoją literaturą; a wszakże każdy, obznajomiony bliżej z polską literaturą, musi podziwiać również i jej ogrom i bogactwo. Tak bogatą zresztą, jak polska, literatury żaden naród słowiański nie posiada.

Otóż, aby polacy i słowieńcy bliżej się zapoznali, na to nie potrzeba formalnych zjazdów literackich: wystarczy, aby ten i ów z literatów i uczonych naszych podczas letnich feryj udał się do Polski, nawzajem zaś, aby polscy uczeni i literaci zwiedzali okolice słowieńskie i aby tym sposobem na miejscu badano stosunki. Z pewnością tu i tam mili goście witani będą z całą braterską serdecznością. Taka cicha obopólna czynność przyniosłaby niezawodnie piękne owoce. Winniśmy się przyznać, żeśmy dotychczas tak, jak nic, w tym względzie nie uczynili. Owóż byłoby wdzięcznem z pewnością zadaniem, gdyby który z naszych uczonych zajął się na seryo studyowaniem polskiej literatury i ziomków naszych zaznajamiał z nią w gazetach.“

Głos *Slov. Narodu* witamy z całą wzajemnością. Cieszy nas, że bracia nasi południowi chcą nawiązać z nami bliższe stosunki. Że i my również tego pragniemy, że chcemy przerwać ten łańcuch uprzedzeń i niewiadomości, który nas dzieli jeszcze dotychczas, dowodzi tego zjazd literacki. Dr. Parczewski Alfons, znany u nas i zagranicą słowianofil, podniósł w wymownych słowach potrzebę poznania pobratymców a (wyjątkowo ze wszystkich) hucznie oklaskiwaną mowę jego z końcową uchwałą sankcyonowało jednomyślnie całe zgromadzenie.

**Dziwna oszczędność.** Już w przeszłym roku obcięto w sejmie galicyjskim budżet szkół ludowych, motywując to dziwne postanowienie względami oszczędności Tymczasem przy dobrych chęciach znalazłyby się z pewnością środki do pokrycia tych wydatków, chociażby np. fundusze przeznaczane na obchodzenie niepotrzebnych jubileuszów. Zamierzone oszczędności weszły obecnie w wykonanie — oto co pisze z tego powodu *Nowa Reforma*:

„Od kilku dni krążyła po mieście wiadomość, że w tych dniach spotka bardzo znaczną liczbę nauczycieli i nauczycielek szkół ludowych nader przykra niespodzianka. Wiadomość ta wydawała się tak potworną, że zaliczono ją do rzędu sensacyjnych bajek. Tymczasem, niestety, sprawdziła się wiadomość, iż bardzo znaczna liczba nauczycieli i nauczycielek otrzyma dymisyę. Jak wiadomo, krajowa Rada szkolna składa wydziałowi krajowemu co rok preliminarz budżetu szkół ludowych na rok przyszły. Wydział krajowy. otrzymawszy preliminarz budżetu na r. 1884, wykreślił w nim ogółem 98,000 złr. z działu, tyczącego się szkół ludowych. Wobec tego faktu, krajowa Rada szkolna okólnikiem z d. 24 sierpnia b. r, poleciła okręgowym radom szkolnym uwolnić od obowiązków z d. 1 września b. r. pewną liczbę nauczycieli i nauczycielek, i nakaz ten już wykonano.“

Dodać należy, że wskutek powszechnego oburzenia, wywołanego tem postanowieniem, odnośne władze postanowiły zająć się losem uwolnionych nauczycieli. Ale kto zajmie się losem oświaty ludowej, której tego rodzaju eksperymenty nie wyjdą chyba na dobre?

**Gorzkie żale.** Korespondent *Kraju* z nad Berezyny smutnemi barwami maluje położenie tamecznych ziemian, które w bieżącym roku pogorszyły się jeszcze skutkiem nieprzyjaznych warunków klimatycznych.

„Na te wszystkie biedy i szlachecki rozum nie pomoże. Gdyby nawet wycisnąć z siedmiu niemców ekstrakt rozumu, jak niegdyś nasze babki robiły ocet siedmiu złodziejów, to nawet retorta Liebiga, który smażył wołu w Argentynie, nic z nich nie wydostanie,“

Hodowla inwentarza, którą doradzali szlachcie bardziej dowcipni, aniżeli świadomi rzeczy dziennikarze warszawscy zawiodła również, bo deszcze nietylko zniszczyły urodzaje, ale i łąki zalały.

„Zsumowawszy pozycye ekonomicznego *Gros-Buchu*, otrzymamy, że w tym roku chuda będzie w naszych rachunkach suma rzeczywista. Biedny ziemianin, który za lepszych czasów przywykł wysyłać do Królewca lub Warszawy parę wagoników zboża, o-

bliczywszy, że po zasianiu pola zostanie mu zaledwo chleba na przekarmienie czeladzi i robotnika, wykaligrafowawszy w ostatniej pozycyi czystych zysków i strat pękate zero lub gruby minus, będzie się musiał udać do tradycyjnej arytmetyki, która podaje znaną formułę: Pięć od czterech — nie mogę — pożyczam u żyda!“

**Taki stan rzeczy wywołać musi poważniejsze refleksye, które sprowadzić się dają do dwu pytań:**

„Czy jest lepiej sprzedać majątek i siąść pod figowem drzewem *d'un bon rentier*, czy też lepiej dalej ciągnąć tę biedę, która już dobrze dała się we znaki?

Stara szlachta wyszła z roli, fizyokraci więc niby, dowodzą poniekąd i słusznie, że kawał ziemi—to najpewniejsza lokata, że choć o chlebie i kaszy zawsze przyszłość pewna, na którą rachować w biedzie łatwiej można, niż na kawał litografowanego papierka, który może z dymem w komin ulecić, lub też nim niemiec jaki fajkę zapali. Nareszcie przecie to rodzinne gniazdo, które pilnie i energicznie bronić potrzeba, by się w nim kukułki nie rozmiłowały i nie kładły jaj krzykliwego i niesfornego plemienia, które może śpiew rodzimego ptactwa zagłuszyć.

Tak mówią stare marudy. Inaczej już śpiewają zwolennicy wymownych fluktuacyj kapitału, wyznawcy *laissez faire, laissez passer* i protektorowie akcyjnych i wzajemnych kredytów. Chwilowa *hausse'a* akcyj wileńskiego banku spać im nie daje. Sprzedam, panie, majątek, który mi daje tyle, że co Maciek zrobił, to Maciek i zjadł—nakupię akcyj, i mając 14% dochodu, będę sobie wegetować w mieście, nie znając ani ekonoma, co wiecznie kradnie, ani chłopa, co nic nie robi a tylko rabuje, ani wreszcie żyda, co bez mydła w kieszeń włazi. Na te świetne perspektywy *dolce far niente* w żydowskim domu i na miejskim bruku, bez nadziei jakiejś choć malutkiej publicznej działalności, przeciwnicy wystawiają im inne perspektywy: krachu naprzykład lub też pochyłości, po której się toczy nasz żółty rubelek, który dawno przestał być białym, dążąc do wartości swego niedawnego przodka, rubelka asygnacyjnego. Na to optymiści kapitału odpowiadają: Co tam, panie, amerykanie nie troszczą się o przyszłość, a dbają aby im było dziś wygodnie.“

**Szkoda tylko, że ci białoruscy yankesi nie starają się naśladować swych zaatlantyckich wzorów w ich dodatnich przymiotach.**

**Spóźnione, ale dobre.** **Petersburski korespondent *Wieku* przytacza zdanie o Turgeniewie p. Katkowa. Ciekawy ten ustęp zasługuje na powtórzenie.**

„...*Turgeniew nie źle pisał powieści* (dosłownie: „Turgeniew nie durno pisał powiesti“), ale miał nieszczęśliwą myśl przedstawiania z bezstronnością artysty starcia dwóch pokoleń, gdy wszyscy ludzie liberalni powinni byli wołać: precz z ojcami, niech żyją dzieci (?). Talent jego wzniósł się w tej właśnie chwili, kiedy staraliśmy się zgładzić literaturę i zastąpić ją drobiazgami dziennikarskimi. Przekonania jego polityczne były bardzo blade i wątpliwe... Słowem, był to pisarz raczej szkodliwy, niż pożyteczny, a w każdym razie niegodzien tego, iżbyśmy zalecali go do czytania w celu rozwinięcia umysłów dorastającego pokolenia.“

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Osuszenie** kopalni olkuskich zbliża się ku końcowi i z wiosną można będzie rozpocząć roboty na całej przestrzeni. Dotychczas nie zdołano się jeszcze przekonać, czy i w jakiej ilości istnieją szacowne rudy, zwłaszcza srebrne, o jakich kroniki wspominają.

**Gospody** chrześciańskie. We wsiach Siennicy i Orłowie, należących do Towarzystwa osad rolnych, zamknięto—jak donosi *Kuryer Poranny*—dwie gospody, a ze znajdujących się przy nich sklepów z produktami spożywczymi i norymberszczyzną powynoszono ławki i stołki, aby chłopi w nich nie przesiadywali. Pozdejmowano też obrazy ze ścian.

**Prasa polska** w Ameryce. *Gazeta Polska* w Chicago posiada 16,000 prenumeratorów a liczba ich zwiększa się z każdym rokiem. Pisma warszawskie, podając o tem wiadomość, ubolewają, że pisownia i styl w tej gazecie pozostawiają wiele do życzenia. Jak gdyby u nas działo się lepiej!

**Chłopcy** sklepowi. Komisya specyalna wkrótce ma zbadać kwestyę stosunku istniejącego między pryncypałami i chłopcami sklepowymi. Pobudkę do tego dały częste skargi na nadużycia ze strony pracodawców.

**Zmiana** na gorsze. Na drodze wiedeńskiej i bydgoskiej zaprowadzono zmiany w organizacyi służby ruchu i telegrafów. Na stacyach pośrednich zniesiono posady telegrafistów a natomiast ustanowiono po trzech pomocników zawiadowcy. Zmiana ta wywołała powszechne niezadowolenie; dodać jeszcze należy, że rozkład godzin służby jest nader wadliwy, bo niektórzy urzędnicy przez 7 nocy z rzędu pełnić muszą swe obowiązki, odpoczywając tylko w dzień.

**Nowy** obraz Matejki. Dla Muzeum narodowego w Krakowie Matejko wykonać zamierza obraz, przedstawiający: „Ogłoszenie ustawy sejmowej z roku 1791.“

**Reklama.** Podczas wyborów do parlamentu włoskiego w Rzymie pewien restaurator rozlepił proklamacyę następującej treści: „Wyborcy! Moje polityczne wyznanie jest następujące: we wtorki makaron, we czwartki zupa kartofiana, w piątki — zupa rybna, w soboty — potrawa z kur.“ Dalej podpis i adres. Policya skonfiskowała plakaty i wytoczyła proces przemyślnemu kuchmistrzowi, który w ten sposób chciał się uwolnić od opłaty stempla, wymaganego za ogłoszenia handlowe.

**Wystawa** rolnicza w Kijowie cieszy się niezwykłem powodzeniem; tylko *Kijewlanin* jest mocno niezadowolony, że większość wystawców pochodzi z Kraju Przywiślańskiego.

**Łatwy** sposób zarobienia 2 rs. 40 k. Świeżo wydany prospekt *Echa muzycznego i teatralnego* obiecuje swym abonentom bezpłatny dodatek, który „z końcem roku przedstawiać będzie wartość *co najmniej 10 rs. 40 k.*“ Ponieważ zaś *Echo* w Warszawie kosztuje rs. 8, każdemu więc prenumeratorowi redakcya dopłaci rs. 2 k. 40.

**Nową** ustawę uniwersytecką dzienniki zapowiadają na bliską przyszłość.

**Uczniom** gimnazyum w Warszawie zabroniono bywać w teatrze na paradyzie, a dozwolono tylko na miejsach numerowanych z rodzicami i opiekunami.

**Wieniec** od polek — jak donoszą *Nowosti* — ma być złożony na trumnie Turgeniewa. Zebrane zaś przy tej sposobności składki będą rozdane między ubogie rodziny polskie w Petersburgu.

**Teatr.** Wkrótce mają być wystawione dramaty: J. Kościelskiego *Dwie miłości* i A. Daudeta *Fromont, Risler i syn.*

— Ministeryum upoważniło Magistrat warszawski do zaliczenia 25,000 rs. na odbudowę Teatru Rozmaitości.

**Spis** ludności w całem państwie odbędzie się prawdopodobnie w 1884 r. a najpóźniej w pierwszych miesiącach 1885. Rozchód oznaczono na 3,000,000 rs., część jego pokryje skarb państwa, resztę zaś ludność przez opłatę blankietów i naklejanie na nich specyalnych marek.

**Uczona polka**, panna Kamila Ostoja-Różycka, przedstawiła filozoficzno-historycznemu wydziałowi Akademii wiedeńskiej opracowany przez siebie słownik turecko-niemiecki, transkrypcyę tureckiego przekładu Ewangelii św. Mateusza i przekład tureckiej komedyi Aijar i Hamza.

**„Głos“** sprzedany został za 275,000 rs. Na czele redakcyi stanie smutnej używający sławy b. profesor akademii medycznej p. Cyon, jako współpracowników wymieniają również byłych profesorów, między innymi p. Lubimowa, przyjaciela i powiernika p. Katkowa. Poprzednia redakcya oświadcza, że z nowym składem nie ma nic wspólnego.

**Shakespeariana.** Pod powyższym tytułem zacznie wychodzić w New-Yorku dwa razy miesięcznie pismo, poświęcone utworom wielkiego dramaturga i ich przekładom na różne języki. Polski oddział prowadzić będą: panna Biggs i Paweł Sobolewski, znany tłomacz celniejszych utworów naszej literatury na język angielski.

**Krytyka policyjna.** *Wiedomosti Odesskawo Gradonaczalstwa*, dziennik w rodzaju naszej *Gazety policyjnej*, w dziale nieurzędowym traktują o przyczynach upadku smaku estetycznego publiczności i odnajdują początki ofenbachiady — w romantyzmie. „Wiadomo i dowiedziono jest—powiada owo pismo—że jeżeli kto doprowadził gust publiczności do lubowania się w stroju *Pięknej Heleny*, to przedewszystkiem pp. romantycy. Oni przez całe stulecia idealizowali i poetyzowali objawy instynktów zwierzęcych we wszystkich formach możebnych.“.

**Katechizm świecki.** *Catéchisme laïque*, wydany niedawno w Paryżu, zawiera między innymi następujące wyznanie wiary: „Wierzę w emancypacyę społeczną za pomocą rozszerzenia wiedzy, w harmonię ogólną, opartą na poczuciu obowiązku; w odrodzenie przez demokracyę, w geniusz naszej rasy, zwiastunki światła i swobody. Wierzę w zupełną porażkę ludzi ubierających się czarno i skamieniałych w ciemnocie. Wierzę w siłę postępu, we wszystkie cnoty zalecone przez ewangelię i niewypełniane przez kościół; w sprawiedliwość, w łagodność i wspaniałomyślność.

**Skąpstwo** p. Grevy. Podczas pobytu prezydenta w letniej rezydencyi mieszkańcy okolicznych wiosek urządzali mu kilka razy dzień serenady. Ciągle ukazywanie się w oknie sprzykrzyło się p. Grevy, prosił więc bawiącego wtedy u niego aktora Fusier, aby go zastąpił. Sztuka udała się i ucharakteryzowany aktor wybornie odegrał rolę prezydenta. Ale pewnego razu zachwycony odegraną właśnie Marsylianką p. Fusier zaczął rzucać z okna grajkom drobną monetę, w końcu zaś ofiarował im złotą 5-frankówkę. Wtedy naczelnik orkiestry wykrzyknął: Omyliliśmy się—to ktoś inny, nie Grevy, bo ten nie daje nigdy ani grosza.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*P. M. Dob. w Petersburgu.* Wyczerpane.

Do obecnego numeru dołącza się prospekt **Echa muzycznego i teatralnego.**



Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Сентября 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.